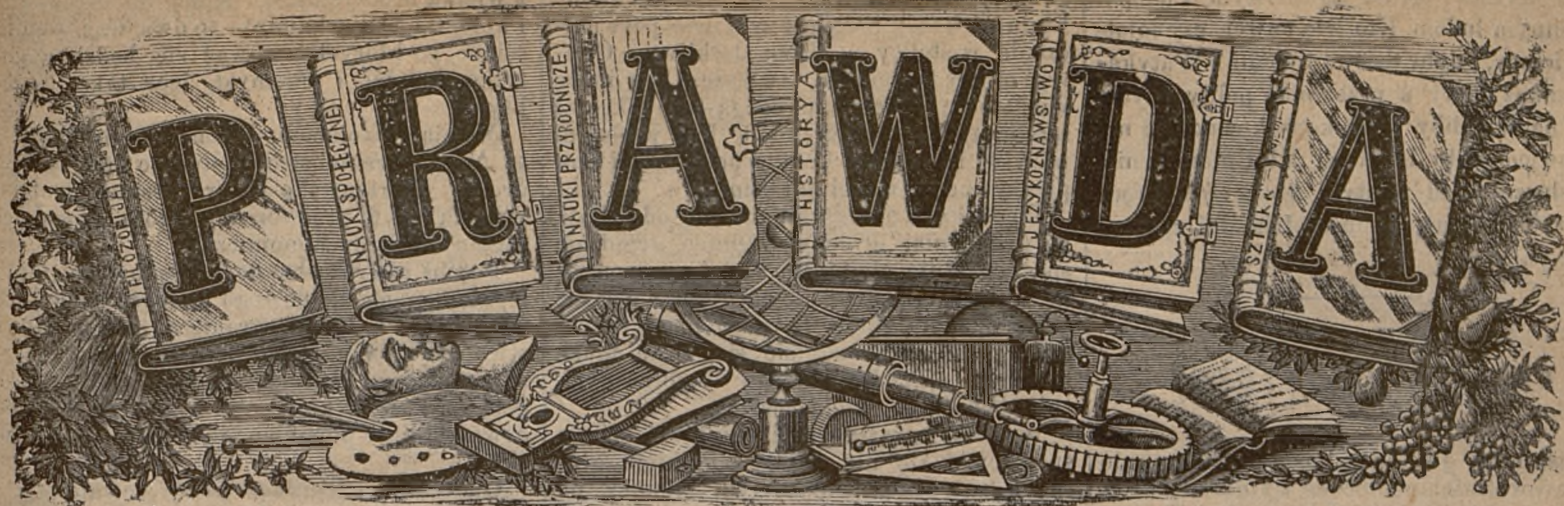
№ 22. Warszawa, dnia 2 Czerwca (21 Maja) 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: *Polityka*: Sparzone palce. — Tydzień polityczny. — Jurgis Durnialis. (Sielanka) p. Brollsa. — *Życie społeczne*: Z nad Dunaju p. A. Stwosza. — *Badania naukowe*: Dziwy psychologiczne II. p. d-ra L. Wolberga. — Procesy dziejowe. III. Stanowisko ascetów w społeczeństwie. (Dokończenie) p. Lud. Krz. — Ludy słowiańskie na ziemiach niemieckich p. R. D. — Językoznawstwo p. J. F. Gajslera. — *Literatura i sztuka*: Literatura polska: E. Orzeszkowa. Nad Niemnem p. A. S. — *Fejleton*: Liberum veto p. Posła Prawdy. — Na widnokręgu p. Drogomira. — Prasa ruska. — Kronika bieżąca. — Odpowiedzi redakcyi. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

SPARZONE PALCE.

Są ludzie, którzy wierzą, że zawsze rozumią to, co mówią, że wypowiadając jakieś zdanie stanowczo, wyrażają w niem niewątpliwą prawdę. Ludziom tym, zdaje się, że między jedną dziedziną myśli lub życia a drugą ciągną się rowy i wały, stoją kopce, że gdy oświadczymy: polityka nie ma nic wspólnego z religią—wyrzuciliśmy z ust niezbity pewnik. Jest to tylko złudzenie sądów powierzchownych. Jak między polami wiedzy, tak między polami życia praktycznego niepodobna przeprowadzić ścisłej granicy, gdyż one wzajemnie za siebie zachodzą. To też bałamucili własny rozum przodownicy irlandzcy, uchwalając na zgromadzeniu, że zobowiązują się do dalszego i zupełnego posłuszeństwa papieżowi w sprawach religii, ale odmawiają mu *prawa* mieszania się do polityki. Nietrudno byłoby Leonowi XIII dowieść, że on to prawo istotnie posiada. Kościół jest nietylko instytucyą religijną, ale także polityczną, nieraz wyłącznie polityczną, jego więc zwierzchnik nie może być w swym głosie ograniczonym bardziej, niż ci, którzy mu podlegają. Obfitych pod tym względem dowodów dostarczył niemiecki „kulturkampf," który tylko tytułowo był walką wyznaniową. To też katolicy pruscy byli konsekwentniejsi od irlandczyków, gdy odebrawszy z Rzymu rozkaz głosowania za 7-leciem etatu, pokonali w sobie niechęć i poszli za komendą.

Obok wszakże zwykłych spojeń łączących religię z polityką, Irlandya wytworzyła nowe. Jak wiadomo rozpoczęła ona z Anglią bój krwawy, morderczy, niegardzący żadnymi środkami. Tym sposobem wkroczyła głęboko w sferę moralną, która przecież także zostaje pod duchowym rządem „ojca św." Czyż on tu nie ma prawa odzywania się? Parneliści mówią do niego tak: jesteś nieomylnym, duch św. zsyła ci mądrość, stanowisz najwyższy trybunał naszego sumienia, najpewniejszy probierz, odróżniający dobre od złego; ale nie wolno ci naszych czynów nazywać dobrymi lub złymi, o ile one wynikają z walki o czynsze dzierżawne; jeśli Jan zabije Pawła dla rabunku, możesz to uznać za zbrodnię; ale jeśli dzierżawca zabije posiadacza ziemi za wyzysk, nie masz racyi w tę sprawę się wtrącać. Jest to logika zabawna, zdradzająca rękę protestanta Parnella, grającego źle wyuczoną rolę katolika. Żaden papież nie pozwoliłby sobie odjąć tego prawa, a tem mniej „dyplomata," Leon XIII, który właśnie polityką dorobił się wpływowego stanowiska, jakie obecnie zajmuje. Prędzej zrzekłby on się swego sądu o Trójcy lub władzy mianowania świętych, niż rozstrzygającego głosu w sprawach świeckich. Wtedy bowiem nietylko musiałby pożegnać swe rojenia o „kawałku ziemi," ale nawet straciłby dla rządów ważność, którą dziś się cieszy.

Wykazując nielogiczność odpowiedzi irlandczyków na list papieżki, nie chcemy przez to dowodzić, żeby protest ich nie był w zasadzie słusznym. Rzeczywiście, naród pogrążony w ciężkiej niedoli, zgnębiony ekonomicznie, prowadzący słabymi środkami długoletnią walkę, może się uczuć dotkniętym, gdy jego duchowy pasterz uderza weń naganą i pośrednio staje po stronie jego nieprzyjaciół. Ale formalna strona tego protestu jest słabą. I czemu jest taką? Czy w legionie patryotów irlandzkich nie ma człowieka, któryby rozumował logicznie? Bynajmniej, tylko sztab Parnella znajduje się w tem położeniu, że nie może posługiwać się taktyką szczerości, lecz obłudy. Gdybyśmy podsłuchali istotne jego myśli, odpowiedź na orędzie Leona XIII brzmiałaby tak: Papież jest regulatorem naszej wiary w sprawach zaziemskich, mistrzem metafizyki życia; co się zaś tyczy spraw ziemskich i praktyki życiowej, ulegamy mu o tyle jedynie, o ile występuje jako nasz opiekun, sprzymierzeniec i działa w duchu naszych interesów. W przeciwnym razie wypowiadamy mu posłuszeństwo. Jego prawo mieszania się do polityki warunkujemy koniecznością szanowania dążeń narodowych. We Włoszech powinien być włochem, w Niemczech — niemcem, a w Irlandyi — irlandczykiem.

Leon XIII ma inne pojęcie o swem stanowisku i władzy; sądzi on, że jako namiestnik Chrystusa stoi po nad narodami i dla każdego z nich wola „ojca św." jest ewangelią. Kiedyś papieże mogli pozostawać w takiem przekonaniu, ale dziś wspiera się ono na grubem złudzeniu. I dlatego w chwili obecnej toczy się bardzo ciekawy i ważny, chociaż cichy zatarg między pasterzem a owczarnią. Pomimo zewnętrznej uległości i jedności, wszystkie ludy katolickie wyłamują się z dotychczasowego stosunku względem Stolicy apostolskiej i pracują nad utworzeniem kościołów narodowych. Jest to ten sam proces, który się już odbył w wyznaniu wschodniem, gdzie pozostała jedna kopuła w osobie patryarchy, ale z godnością nominalną, nieciążącą nad pojedynczemi częściami budowy, mającemi swój styl narodowy. W katolicyzmie zachodzi podobne różniczkowanie, mimo że pozornie Leon XIII mocniej go zcałkował. Swoją „dyplomacyą" osobiście odniósł szereg tryumfów, ale przeciwstawiając się interesom narodowym, przyspieszył rozwój niepodległości odłamów katolicyzmu. Jednym z wielu jej objawów jest protest irlandzki, nielogiczny w formie, ale ważny w treści, którą papież wyczyta między wierszami. Energia oporu nadaje mu szczególne znaczenie dla przyszłości. Przykład

irlandczyków będzie zaraźliwym i udzieli się innym ludom. Kto wie nawet, czy lojalni niemcy, gdyby dziś otrzymali z Watykanu nakaz ofiary z przekonań politycznych, nie nadłamaliby swej konsekwencyi i nie odpowiedzieliby Leonowi XIII nieprawnie, ale słusznie: od polityki *hands off!* — ręce precz! To pewna, że on w Irlandyi sparzył sobie palce.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Paskudne, już nietylko z lojalizmu, ale z przyzwoitości ogołocone wymysły gadzinowej prasy niemieckiej na cesarza Fryderyka, a zwłaszcza jego żonę, doczekały się nareszcie zasłużonego pręgierza w parlamencie. Podjął je, oświetlił i napiętnował Richter. Przypomniawszy zamierzone w Wrocławiu i Lipsku adresy do monarchy, buchające uwielbieniem dla kanclerza, kłamstwa i potwarze pewnej urzędowej gazetki drezdeńskiej, a zwłaszcza osławionej *kolońskiej*, narzekającej na „rządy fartuszkowe,“ na samowolną gospodarkę „angielki,“ przywódca postępowców rozniecił przed narodem całe, nieczyste pasmo robót kanclerza przeciwko własnemu cesarzowi, a zatem przeciw dynastyi i monarchizmowi. Prawica—„chór landratów“—ciągłymi wrzaskami i odwoływaniem się do władzy prezydenta usiłowała zatamować w ustach mówcy potok oskarżeń, które i ją obryzgiwały. Ale Richter, chociaż przywołany do porządku, wypowiedział wszystko, co zamierzył. Przyznać trzeba, że nadarzyła mu się wyborna sposobność do uderzenia w słabą stronę przeciwników, a zwłaszcza w piętę ich Achilesa. Ci postępowcy, których ks. Bismark zawsze obwiniał o podkopywanie tronu, o spiski przeciw Hohenzollernom, o republikanizm, oni wystąpili przeciw niemu w obronie korony i domu panującego. Dziwna przemiana ról!

Nawet w tak chłodnej i z interesów utkanej robocie, jak polityka, działają często nastroje osobiste. Być też może, że rozdrażnienie, jakiemu obecnie podlega kanclerz niemiecki, wpłynęło na jego szorstkie zachnięcie się na obie sąsiadki. Jak wspomnieliśmy, francuzom, przybywającym do Alzacyi i Lotaryngii, nakazano mieć paszporty, wizowane u ambasadora niemieckiego w Paryżu. Naprzód przyzwyczaić się do tego kłopotu, a następnie z dalekich okolic kraju na każdy przejazd zyskiwać poświadczenie w stolicy — ciężar dotkliwy. Obruszył on też francuzów, zwłaszcza gdy im tę wiadomość popieprzono drugą — że wkrótce z zabranych prowincyj mają być wydaleni wszyscy ich rodacy i odtąd będą mogli tam przebywać najwyżej dni ośm.

Pogłoska o podwyższeniu ceł od zboża na wschodniej granicy Niemiec, dotąd nie sprawdziła się, ale też nie została zaprzeczoną. Coś na tem kowadle się kuje, a czy ów miecz spadnie, zależy to od wielu przyczyn, między któremi znajdzie się może także wynik i sprzedaż zbiorów tegorocznych żniw Warcina i Friedrichsruhe.

W każdym razie przyjaźni z tej strony spodziewać się nie należy. Pomimo głośnych zapewnień pokojowych, Niemcy po cichu zbroją się z natężonym wysiłkiem. Korespondent *Gazety warszawskiej* z Poznania zdradza ciekawe szczegóły tych przygotowań. „Z jaką gorliwością — powiada on — tutejsza władza wojskowa przyspiesza wykończenie obwarowania naszego miasta, wynika choć już z tego, że dziennie zatrudnia około 2,000 ludzi i że do Zielonych Świątek wykończono po za Główną aż pięć pontonów, długich na 40, a szerokich na 20 metrów. Tak samo pracują z nadzwyczajnym pośpiechem nad wykończeniem nowego fortu po lewej stronie Warty, naprzeciwko Główny, pod Naramowicami od strony Poznania i Szeląga. Podobno jeszcze w ciągu roku bieżącego prawy i lewy brzeg Warty pomiędzy Naramowicami a Główną będzie połączony mostem dla przeprowadzenia kolei strategicznej.“

Uniewinniony sądownie w Wiedniu p. Żiwny, zięć Skrejszowskiego i redaktor *Parlamentära*, miał rozmowę z korespondentem *Now. Wremieni*, p. Mołczanowem, w przedmiocie przyszłych losów Słowiańszczyzny. Smutnym dla niego objawem jest to, że oswobodzone ludy słowiańskie zasklepiły się w swoich interesach i straciły z uwagi zjednoczenie plemienne. Stąd wnioskuje, że podobny fakt powtórzyłby się i przy dalszem usamowolnieniu innych narodów słowiańskich, np. Czech, które odzyskawszy niezależność, straciłyby dotychczasowe sympatye. Zalecając unię całej rodziny ludów w języku Cyryla i Metodego, p. Żiwny przyznaje wartość Austryi, jako rozsadnikowi panslawizmu.

„Serce Azyi środkowej,“ Samarkanda, połączone zostało arteryą drogi żelaznej z morzem Kaspijskiem. Wyprawienie pierwszego pociągu po tej linii odbyło się z wielką uroczystością. Kolej do Saloniki i kolej do Samarkandy — to dwa ważne gościńce, po których posuwać się będzie nietylko handel i przemysł, lecz także polityka.

Mówiąc o kolejach, zaznaczyć winniśmy, że *Now. Wremia* ostro występuje przeciwko drodze Warszawsko-Petersburskiej za jej wysoką taryfę przewozową, która wywiera ujemny wpływ ekonomiczny.

Papież ma rozesłać do biskupów okólnik z potępieniem dla nowego kodeksu karnego we Włoszech, który ogranicza duchowieństwo i Watykan. Rzecz dziwna, Leon XIII ze wszystkimi rządami pragnie żyć w zgodzie, drze się tylko z tym, z którym przedewszystkiem powinien się zbratać—z włoskim.

Gadulstwo dzienników pokrzyżowało plany cesarzowi austryackiemu: unikając obowiązku odwiedzenia Papieża w Rzymie, chciał on odwzajemnić się wizytą królowi włoskiemu na manewrach w Bolonii. Gazety zdradziły ten zamiar, a patryotyczna prasa włoska domaga się, ażeby spotkanie nastąpiło w stolicy.

Nareszcie podatek wódczany przyszedł na stół wiedeńskiej Rady państwa. Wiceprezes Koła polskiego, p. Jaworski, naprzód zaszczycony przez cesarza oświadczeniem w tej sprawie: *sic volo, sic jubeo*, potem mianowany tajnym radcą, oznajmił w imieniu Koła, że „polacy ustawę wódczaną z ciężkiem sercem, lecz spokojnem sumieniem przyjmą.“ Czy ze spokojnem?

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Z NAD DUNAJU.

Wiedeń, 26 maja.

Jak wygląda wystawa przemysłowa w Wiedniu. — Jej doniosłość ogólna i znaczenie dla przemysłu słowiańskiego. — Wiedeń nie jest stolicą niemiecką.— Pawilony miasta Wiednia jako wystawa sztuk pięknych. — Cuda rotundy.

Świeżo otworzona w Praterze wiedeńskim jubileuszowa wystawa przemysłowa, czyni, według ogólnego zdania zwiedzających ją, wrażenie światowej, zarówno imponując ilością, jak różnorodnością przedmiotów. Główne oddziały jej pomieszczone są w rotundzie, w której przed piętnastu

5)

JURGIS DURNIALIS.

(SIELANKA).

IX.

Czarny, osmolony, pokryty pęcherzami Jurgis, zeszedł ze strzechy i stanąwszy na płocie, zawołał: *Mażutiej!* W tym głosie już nie było słychać dźwięków surowych, rozkazujących—owszem, odezwały się znane dzieciom nuty ich „dziadźki.“ Ze wszystkich kątów wykazywały się wystraszone jasne i ciemne główki.

Gdy go dziatwa okoliła, odłączył tych, którzy postradali przytułek i zwracając się do sąsiadów, rzekł:

— Przyjmijcie, kto może, pogorzelców, a tymczasem ich dzieci wezmę do siebie. I otoczony malcmi poszedł do domu. Karusia została na pogorzelisku, bo Alina uczepiła się jej szyi i nie chciała puścić.

Przyszedłszy do domu, Jurgis wyniósł z bokówki do sieni wszystkie sprzęty, rozesłał na podłodze słomę, ułożył dzieci jak prosiaki, okrył, czem się trafiło—i sam legł u progu.

Nazajutrz zrana do izby Piktasów wpadła, pod wodzą Jurgisa, szarańcza małych pogorzelców. Grzegorzowa drgnęła z oburzenia; niechby dwóch, trzech, a to jedenastu! Któż może nakarmić—tembardziej na przednówku? Najgorzej, że nie wiadomo, jak długo będą siedzieć na karku! Cały dom zgubią... i wszystko to Jurgis!

Tymczasem osmolony olbrzym, wbrew zwykłej nieśmiałości, szperał po kątach i wszystkiem, co znalazł: chlebem, kartoflami, bocianimi pirogami — karmił gości. Gdy się nasycili, wpuścił ich do bokówki i wróciwszy do izby, zapytał:

— A czy ugotujecie dla dzieci jakiej buzy?

Grzegorzowa nie mogła dłużej wytrzymać:

— Cóż to wacan taki bogacz jesteś, żeby pół wioski karmić?!

Jurgis nic nie odpowiedział, zwrócił się do siostry i rzekł:

— Karusia, idź, gotuj buzę.

Lecz gdy dziewczyna wzięła garnek, Grzegorzowa wyrwała go jej z rąk i krzyknęła:

— Nie śmiej!..

— Gadzina!—ryknął Jurgis, stojąc przed bratową.

Spojrzała na niego, zbladła i odskakując, krzyknęła: „Jezusie, Maryo!“ Oczy mu we łbie świeciły jak dwa węgle i tak na nią patrzyły, że gotowa była zapaść się pod ziemię. Grzegorz blady, jak gdyby go kto owsianą mąką osypał, zerwał się z ławy:

— Jurgis— szepnął błagalnie—nie strasz bab! Pogniewają się i pogodzą, a dzieci nakarmią — czyż im z głodu umierać...

Jurgis odszedł. Przywołał bratanków i rzekł:

— Idźcie do bokówki i bawcie się z dziećmi; zawołają do chaty — idźcie razem; dadzą jeść — jedzcie razem, a nie posłuchacie, za płot wyrzucę.

Chłopaki ruszyli do bokówki.

* * *

Po pierwszem przerażeniu pogorzelcy zaczęli się rozpatrywać. Okazało się, że u Wargalisa zgorzały świren i odryna, u Smilgara i Pankstisa pozostały tylko gumna, u Wilejki gumno i łazienka. Jeden Szyłejko znalazł się na czystem polu. Najgorszem było to, że u żadnego z nich nie zostało ani garnca zboża. To też ciężko wlokła się wiosna, lecz przy pomocy dobrych ludzi dźwigali się po troszę z pożogi. Jurgis przez całe lato, nie wiadomo kiedy spał, kiedy jadł. Czy to zwozić bierwiona, czy klecić zręby, czy urządzić tłokę dla pogo-

łaty mieściła się wystawa światowa, a następnie elektryczna: nadto zaś w pobliżu rotundy wzniesiono rozliczne pawilony, ugrupowane wzdłuż dwóch ulic, krzyżujących się. Na środku stoi pawilon, przeznaczony dla kapeli wojskowej; część Prateru, obejmującą rotundę i pawilony, odgraniczono jako park wystawowy. Świeża zieleń drzew i murawy, uroczysta dekoracya całego ogrodu, odgłos muzyki oraz rozliczne bufety, czynią to miejsce ponętnem zarówno dla wiedeńczyków, jak dla obcych, napływających teraz coraz liczniej do stolicy naddunajskiej; to też nietylko rotunda i pawilony, ale i park przepełniony jest w dniach pogodnych. Wystawa trwać ma sześć miesięcy; skutkiem tego pisma miejscowe nie myślą jeszcze o rozpoczęciu sprawozdań specyalnych z tego popisu, zajmującego ważne stanowisko w dziejach przemysłu Europy, i poprzestają na wzmiankach kronikarskich, niedających czytelnikom najmniejszego wyobrażenia o skarbach samej wystawy. Zasługuje ona jednak na zajęcie wszystkich społeczeństw cywilizowanych, gdyż wyobraża ostatnie dzieje i stan obecny całego kulturalnego rozkwitu grupy ludów, tworzącej państwo austro-węgierskie. Powierzchowny już przegląd samego nawet katalogu wystarcza, ażeby nabyć przekonanie, że nie jest to bynajmniej wystawa przemysłu niemiecko-austryackiego; firmy niemieckie są w mniejszości znikającej, przeważają słowianie, między nimi czesi. A o ile sam Wiedeń wchodzi w rachubę, powinno się mieć na oku fakt, że jeżeli on był kiedyś grodem niemieckim, to dziś bynajmniej za taki uważanym być nie może: ludność jego, złożona przeważnie ze słowian i węgrów, całe miasto nowe i budynki olbrzymie uważane być mogą o wiele bardziej za własność czechów i polaków, aniżeli za stolicę niemców. Dziwny tok dziejów wytworzył tu olbrzymie ognisko kulturalne, w którem słowianie mają prawo czuć się swojskimi. Dla nieznających bliżej stolicy austryackiej nie zawadzi nadmienić, że fakt, o którym mówimy, występuje najjawniej nietylko w historyi i statystyce, ale uderza każdego, kto przechadza się po mieście. Daremnie rozglądasz się tu za zbitą masą firm niemieckich; sklepy należą do kupców słowiańskich, węgierskich, włoskich. Na ulicach napotykasz co krok nietylko inteligencyę słowiańską, ale pełno tu posługaczów publicznych, straganiarek, przekupniów słowiańskich. Po restauracyach teatrach, pobywszy czas jakiś w Wiedniu, nie zdziwisz się już bynajmniej, słysząc mowę polską; na korytarzach parlamentu nadstawiasz ucha zdziwiony, czy nie znajdujesz się w salach sejmu galicyjskiego. Tyle tu ognisk narodowych, tyle tak rozległych kół towarzyskich, że polakowi zdaje się, iż żyje w stolicy polskiej, czechowi, iż nie wyszedł z murów Pragi.

To też wstępując w pawilony „miasta Wiednia," których opisem rozpoczniemy sprawozdanie nasze z wystawy przemysłowej, wiemy, że rozwój tego miasta ma dla polaków inne całkiem znaczenie, aniżeli rozkwit Berlina; w tej zogniskowanej, prawdziwie europejskiej cywilizacyi mieszczą się składniki kultury polskiej, te wspaniale przybytki dla nauki i sztuki, które dziś Europa podziwia, wzniesiono w niemałej części z funduszów polskich i dla użytku polaków. Pawilon „miasta Wiednia" ma cechę fachowo-techniczną. Ilustruje on za pomocą planów i przecięć, jak Wiedeń dzisiejszy, renesansowy, powstał ze starego, barokowego. Kolosalny plan ruchu handlowego w Wiedniu od r. 1848—1888, zajmujący całą ścianę sali głównej, daje ogólny obraz szerokiej tej czynności inżenierskiej i architektonicznej; w innych zaś salach szczegółowo poinformować się można o dzisiejszej organizacyi wodociągów, o systemie budowy mostów, kanałów i ulic, szkół i magazynów publicznych w Wiedniu.

Inny całkiem świat otwiera się w pawilonie komisyi dla rozszerzenia miasta. Cały nowy Wiedeń przedstawia ci się tu w miniaturze — ale plastycznie i barwnie. Imponująca czynność architektury, plastyki i malarstwa w służbie publicznej, wszechstronna działalność artystyczna, stanowiąca świetny okres w historyi sztuki nowożytnej, skupiła tu plony swe w dwóch salach. Wstępującego uderza najprzód starannie i zrozumiale wykonany plan owej wielkiej grupy budynków monumentalnych, która stanowi punkt środkowy dzisiejszej stolicy naddunajskiej. Plan ten, zaprojektowany niegdyś przez słynnego archeologa i architektę Sempera, obejmuje wzniesiony już gmach Rady państwa w stylu Odrodzenia, ratusz w stylu gotyckim, operę w stylu Odrodzenia francuzkiego, nowy zamek cesarski, którego budowa jeszcze nie została rozpoczętą, wreszcie Muzeum przyrodnicze, Muzeum dla sztuk pięknych i nowy Burgtheater, trzy gmachy, których ozdobienie właśnie jest na ukończeniu, a których otwarcia z najwyższem zajęciem oczekuje cały świat artystyczny.

Plan ten uzupełniają projekty budynków jeszcze niewzniesionych, oraz liczne wielkie zdjęcia fotograficzne najpiękniejszych widoków miasta: Aspernbrücke, Votivkirche, Albrechtsbrunnen, zewnętrze i wnętrze muzeów i Burgu, nadto akwarele, przedstawiające główne budynki i całe ulice Wiednia w r. 1848, inne, wyobrażające dzisiejsze gmachy, które na ich miejscu powstały—oto mniej więcej obraz tego, czego dokonała architektura w stolicy Austro-Węgier, odkąd nastała konstytucya, a z nią swobody rozwój cywilizacyjny.

Przepysznie występuje snycerstwo. Wszystkie prawie rzeźby zdobiące nowy Burgtheater, widzimy tu w modelach gipsowych o wielkości oryginałów. Niektóre z biustów poetów, Talię i Melpomenę dłuta Kundmanna, Miłość, Nienawiść, Heroizm i Egoizm, symboliczne postacie — Benka, Fedrę, Falstaffa i błazna — Tilgnera, Laubego i Dingelstedta — Nattesa, Rachelę — Hauffungena, i wiele innych. Z Muzeum przyrodniczego widzimy Wesalinsza— Dawida, Leibniza i Buffona — Costenoble'a, Wulkana i Uranię — Liebernagla, Linneusza—Tilgnera; przed pawilonem umieszczono dwie kolosalne figury — Benka: Apollina i Minerwę, zdobiące kopuły gmachów muzealnych.

Prawdziwie pomnikowe dzieła wydało malarstwo. Klatkę schodową nowego Burgtheatru zdobi cykl fresków, wyobrażający historyę sceny. (Klimmt i Matsch). Prześliczne są freski Hynaisa, przedstawiające autorów dramatycznych 16, 17, 18 i 19 stulecia. Foyer przybrane jest może najpiękniej: Charlemont ozdobił powałę jego trzema olbrzymich rozmiarów freskami, wyobrażającymi „Sen nocy letniej," „Ifigenie w Aulis," wreszcie „Apolina i muzy." Muzeum sztuk pięknych zawdzięcza ozdoby swe głównie pędzlowi Makarta, który wykonał cały szereg prześlicznych obrazów na tle złotem: widzimy osiwiałego Tycyana, obok Pawła Veronese, Michała Anioła i Albrechta Dürera, mistrza z Urbino, w którego ramionach spoczywa Fornarina, Leonarda da Vinci i Mona Liszę, Rubensa z Heleną Formans.

Najpiękniejszą ozdobą Muzeum przyrodniczego jest wspaniała kompozycya Canona „Der Kreislauf des Lebens," przypominająca styl Kaulbacha. Zresztą zaś ściany udekorowane są nieprzejrzaną ilością krajobrazów, uprzytomniających nam w sposób barwny okolice, ludność, faunę i florę wszystkich niemal stref.

Pawilony miasta Wiednia uważane tedy być mogą jako wystawa dzieł sztuk pięknych. Zwracając się do głównej masy

---

rzelców — wszędzie on; tak się przyzwyczajono do jego pomocy, że nietylko pogorzelcy, ale i inni sąsiedzi — byle co—biegli do niego po radę. Co sam pomógł, to jeszcze mniej znaczyło; umiał i innych zachęcić: nietylko swoich sąsiadów, ale i z okolicznych wiosek. Dzieci trzymał w bokówce prawie do jesieni. Z początku Grzegorzowa chodziła po chacie, jak ciemna chmura i nie mogąc znaleźć sprawiedliwości u sąsiadów, jeździła do starszyny ze skargą; lecz gdy i starszyna nie chciał radzić, a ksiądz na kazaniu powiedział tak pięknie o tych, co sieroty przytulili — zgodziła się z losem i tylko wyglądała niecierpliwie jesieni. Nareszcie doczekała: Wilejko najprzód wziął swoje dwie dziewczynki, potem Szyłojko zabrał dzieci, na ostatku Pankstis i Smilgas. Bokówka wróciła do dawnego stanu — Jurgis znowu stawał się milczącym i ponurym.

X.

W czasie świąt Bożego Narodzenia Grzegorzostwo wyjechali w gościnę, aż do drugiej parafii; Karusia poszła na wieczorynkę do starosty, który w czasie lata odbudował już świren i odrynę. Jurgis jeden pozostał w domu. Leżał w komorze z oczami utkwionemi w sufit, jakby liczył szpary. Od czasu do czasu powstawał, przemieniał *blonkę* i znów kładł się. W tem drzwi skrzypnęły: wbiegły Karusia i Alinka.

— A cóż to leżysz, Jurgis, i nie idziesz na wieczorynkę?— zaszczebiotała starościanka.

— At! co tam robić parobkowi między gospodarzami — mruknął.

— Głupstwa gadasz, chodź!

— At...

Dziewczęta, jakby czemś zakłopotane, poszeptały z sobą, poczem Alinka ozwała się znowu:

— Czy oddałbyś Jurgis Karusię za Wiłejkisa; choć oni zbiednieli po pożarze, ale zawsze to dobra familia, to nie jakiś Paskujtinis.

— Jeszcze on w swaty nie przyjeżdżał.

— Jutro przyjedzie.

— A skąd wiecie?

— Bo pytał Karusię, czy pójdzie za niego. Widzisz, stary Wilejko wszystko jakoś majaczył: z początku chciał do Mierkułasa, a na wiosnę powiedział, że niech do was jedzie. Teraz po pożarze stary milczy jak pień, a kiedy Ignaluk zapytał, to mu odrzekł: rób, jak chcesz.

Jurgis nie podnosząc się, skierował głowę ku siotrze i zapytał:

— A ty co?

Dziewczyna zakryła twarz rękawem i szepnęła:

— Jabym poszła.

— No to przyprowadź jego tutaj, zrób poczęstunek — pogadamy, ot i będą swaty.

— Zaraz? — zapytała zdziwiona.

— A choćby i zaraz...

— Pójdźmy — rzekła Karusia i ciągnęła za sobą Alinkę, bo jej jednej wstyd było wołać chłopaka.

— Co tam! — szepnęła starościanka — powiesz — jakby nic nie było — że Jurgis prosi przyjść, a ja tu pobędę.

Gdy przyjaciółka wybiegła, Alinka poprawiła *blonkę* i rzekła:

— Ja tu będę czekała.

— A i czekaj! — odparł Jurgis, nie odrywając oczu od sufitu.

— Ot, siostrę zamąż wydajesz — mówiła jakimś nieswoim głosem — a czemubyś sam nie ożenił się?

— Gudas mówił: „nie dla psa — kowbasa."

— Co tam Gudasa słuchać; za wacana każda by poszła.

— Za parobka, gospodarska córka nie pójdzie, a kątnicy takiej, jakiej chciałbym— nie znam.

— Jakiż to wacan parobek; może lepszy gospodarz od innych.

— Parobek, bo grunt *odpisałem* bratankom.

— Wacan mógłbyś pójść na dom.

przedmiotów, umieszczonych w rotundzie, zwiedzimy najsamprzód grupy pokrewne tej dziedzinie, tj. oddział przemysłu artystycznego, złożony z produktów ceramicznych i metalowych. Wprzód jednak powinniśmy rzucić okiem na t. zw. „cuda“ rotundy. Pośrodku jej wznosi się wieża z papieru, współzawodnicząca co do kunsztowności z żelazną wieżą, mającą stanowić „cud“ przyszłorocznej wystawy światowej w Paryżu. Wznosi się ona do wysokości 62 metrów (paryska będzie cztery razy wyższą); szesnaście kolosalnych zwojów papieru roztoczono za pomocą wind i lekkich podpór żelaznych aż pod sam dach szklany rotundy, gdzie owe strumienie papieru zbiegają się piramidalnie, nieużyte części zwojów spoczywają na czworobocznych cokułach, na których malarz dekoracyjny Kantsky przedstawił szesnaście budynków składających fabrykę Schlöglmühla. Jestto pomysł oryginalny, wykonany z dziwną lekkością i zasługujący w istocie na nazwę cudu techniki.

Artystyczne wrażenie czyni pawilon cesarski, w którym przyjmowano panującego w dzień otwarcia wystawy. Było to niełatwem dla architekta zadaniem, oznaczyć rozmiary pawilonu, któryby na tle olbrzymiego obszaru rotundy nie znikał, nie przekraczając jednak granic, tkwiących w charakterze tego rodzaju budowy. Zadanie to rozwiązał najszczęśliwiej kierownik techniczny wystawy, Bressler. Pawilon wznosi się na galeryi, otaczającej wnętrze całej rotundy. Na czterech kolosalnych drzewcach spoczywa baldachin z aksamitu purpurowego, ozdobiony koroną cesarską, złożoną z lamp elektrycznych. Ciemno czerwone dywany pluszowe spływają po bokach i okrywają podłogę pawilonu, który ma kształt wielkiego namiotu. Części architektoniczne, zbudowane z białego drzewa, a pokryte ozdobami złotemi, ukazują styl barokowy, austryacki. Wspaniałe schody marmurowe odcinają pawilon od obszaru rotundy, a u wnijścia jego umieszczono przepyszne dwa obeliski. Wieczorem pawilon ten, zdobny bogatą złotą sztukateryą, płonie olśniewającem światłem elektrycznem.

Zdaleka też widzimy okazały budynek w stylu gotyckim: jest to fantastycznie urządzona wystawa wyrobów chemicznych firmy Sarga i S-ki. Wreszcie przywabia widza olbrzymi obelisk olśniewającej białości: są to świece „Apollo,“ piętrzące się w grupach coraz cieńszych i krótszych. Dopiero po obejrzeniu tych „cudów,“ widz, zaspokoiwszy pierwszą ciekawość, rozpocząć może systematyczną przechadzkę po rotundzie.

A. Stwosz.

BADANIA NAUKOWE.

DZIWY PSYCHOLOGICZNE.

II.

Zmiany, następujące w usposobieniu, w inteligencyi, w moralności chorego są zadziwiające; jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej nagle z człowieka obojętnego, ograniczonego, upartego, niegrzecznego powstaje nowy, żywy, odważny, zręczny, uprzejmy, z miłem zachowaniem się dziecka. Przykładając kawał żelaza do prawego uda, otrzymali autorzy jeszcze jeden stan, podczas którego chory czuje się 22-letnim człowiekiem, żołnierzem francuskiej marynarki, a zatem na kilka miesięcy przed epoką, w której przebywał u nich w szpitalu); wszelkie paraliże ustąpiły, a w pamięci jego przechowują się wspomnienia całego życia, od dzieciństwa aż do chwili wstąpienia do marynarki.

Oto najważniejsze stany, wywołane na tym osobniku zapomocą magnesu, lub pewnych metali, przystawianych tu i owdzie do ciała, można sprowadzić rozmaite zmiany i jak w kalejdoskopie przedstawić wszystkie główniejsze okresy życia pacyenta. O udawaniu mowy być nie może, już z tego względu, że nawet najlepszy aktor nie byłby w stanie do tego stopnia utożsamić się z przedstawianym okresem życia — co do głosu, co do wyrazu twarzy, zachowania się, a nadto co do pamięci licznych szczegółów z danej epoki. Stany te w świadomości zostają wywoływane za pomocą czynników fizycznych, które pierwotnie sprowadzają pewne zmiany w czuciu i ruchach pacyenta, tj. wywołują rozmaite paraliże i znieczulenia. Pewnemu paraliżowi odpowiada zawsze pewien stan świadomości pacyenta.

Zależność stanu moralnego od fizycznego, a raczej wzajemna łączność obu wykazaną została przez autorów w ten sposób, że zahypnotyzowawszy chorego, poddawali mu myśl obudzenia się, np. w Bicêtre dnia 2 stycznia 1884. Był posłusznym, budził się, cały jego psychiczny stan odpowiadał owej epoce, nadto lewa połowa ciała była znieczuloną i sparaliżowaną. Słowem, był to opisany powyżej stan drugi. Poddawania myślowe innego rodzaju miały zawsze podobny skutek.

Z tego wynika, że między ciałem a duszą, czyli między stanem fizycznym a moralnym istnieje związek tak ścisły, iż niepodobna zmienić jednego bez jednoczesnego oddziałania na drugi.

Oprócz okresów oddzielnych, na zawołanie zjawiających się, można było nadto spostrzegać u chorego także cały szereg następujących po sobie. Objawiało się to zwykle po wielkich napadach histerycznych; po odpoczynku, przed oczami autorów, jak w latarni czarnoksięzkiej przewijały się rozmaite okresy życia pacyenta V., zaczynając od dzieciństwa aż do chwili obecnej i to z zachowaniem wszelkich szczegółów, wszystkich objawów, wspomnień i wiadomości, przyzwyczajeń itd. Tego rodzaju chorobliwe przedstawienia trwały przez całą noc; stanowiły one jakby żywą powieść, w ciągu kilku godzin bowiem, jak na dłoni, przedstawiają nam całe życie pacyenta — w dodatku ilustrowane.

Tego rodzaju przedstawienie można i sztucznie wywołać, sprowadzając przykurczenie pewnych części ciała, odpowiadające pewnemu stanowi psychicznemu, tak np. naciskając na ścięgna nóg i kolan wywołują autorzy skurcz dolnych kończyn, a w tej chwili stan psychiczny chorego zmienia się, wydaje mu się bowiem, że jest w Bonneval, czyli że następuje stan czwarty. Podobnież przykurczając tylko jedną prawą nogę, wprowadza się chorego w stan odpowiadający jego pobytowi w Bourg — i tak dalej.

Z przytoczonych tu w krótkości spostrzeżeń wynika, że pomiędzy oddzielnymi stanami świadomości tego osobnika niema żadnego łącznika; brak mu pamięci, łączącej w umyśle oddzielne okresy jego życia w jedną organiczną całość. Nadto widzimy niezwykły związek, zachodzący pomiędzy uczuciem, ruchami z jednej, a świadomością z drugiej strony. Najmniejszy wpływ, działający na jedną z tych sfer, natychmiastowo oddziaływa też na inne i zmienia je. Zmiana w uczuciach lub ruchach, odbija się w świadomości i odwrotnie. Pewne jednak zmiany położenia kończyn, nieodpowiadające żadnemu z poprzednich stanów chorobliwych (np. przypadkowe skurczenie lewej ręki), nie sprowadzały żadnej zmiany w świadomości chorego, co dowodzi, że nie udawał. Zmiany te nie trwały nigdy dłużej nad kwadrans, lub pół godziny; co prawda, nie starano się wcale przedłużać ich jakimkolwiek sposobem, co bez wątpienia udałoby się zapomocą poddawania myślowego, lub dłuższego działania magnesu i metali na organizm tego histeryka.

Wypadki zmiany poczucia własnej osobistości nie są tak rzadkie, jakby się na pozór wydawać mogło; oprócz tylko co opisanego, podają autorzy jeszcze kilka innych podobnych, spostrzeganych na kilku młodych dziewczętach i kobietach. Żaden jednak z tych wypadków nie był tak charakterystycznym i w szczegóły bogatym, jak pierwszy. Wspomnimy zatem tylko o jednym jeszcze, dotyczącym młodej, nerwowej dziewczyny, łatwo podlegającej hypnotyzmowi. Podczas tego stanu rozkazują jej autorzy obudzić się — jako sześcioletniemu dziecku. Chora, która w normalnym stanie niczego sobie nie przypominała ze swego dzieciństwa, budzi się na rozkaz i całem swem zachowaniem zdradza małe dziecko, pamięta wszystkie szczegóły tego wieku, mówi językiem dziecinnym, nie umie czytać itp. Autorzy przykładają rękę do jej czoła i rozkazują jej mieć 10 lat. Wnet staje się inną, inne wspomnienia budzą się w jej pamięci, umie już czytać i pisać, lecz charakterem dziecinnym — itd. W ten sposób zapomocą rozkazu, poddanego podczas

---

Jurgis poruszył się niecierpliwie, mruknął swoje: at, lecz po chwili rzekł:

— To przyjeżdżajcie do mnie w swaty, która podoba się — wezmę.

— Jakaż to dziewczyna pojedzie w swaty, gdzież to widziano?

— Ja nie pojadę.

Starościanka zamilkła. Chwil kilka trwała zupełna cisza: tylko węgiel od łuczywa z szelestem padał na glinianą podłogę, lub świerszcz odzywał się niekiedy z za pieca. Dziewczyna, szarpiąc róg chustki, dwa razy otwierała usta, by coś powiedzieć, lecz znowu je zwierała. Nareszcie postąpiła dwa kroki naprzód i rzekła:

— Jurgis....

Co dźwięczało w tym głosie, nikt by nie mógł odgadnąć; lecz zapewne coś ważnego, gdyż nieruchomy, zakamieniały Jurgis w jednej chwili zerwał się, spojrzał na nią i jakimś zmienionym głosem zapytał: co?

— A czy nie przyjechałbyś do nas w swaty?..

Chciał powiedzieć; Gudas... lecz mu coś w gardle drgnęło. Dziewczyna z płaczem rzuciła się ku niemu i utuliła głowę na jego szerokiej piersi. Twarda ręka olbrzyma, lekko przesunęła się po jej włosach...

Gdy Ignaluk z Karusią weszli do komory, zrobili oczy wielkie — jak obwarzanki: Jurgis siedział z Alinką na jednym zydelku i... śmiał się, ale to prawdziwie śmiał się! I tak było pięknie patrzeć na jego wyszczerzone zęby, na usta rozwarte prawie do uszu, na duże zmarszczki koło nosa, na połyskujące jak dwa węgle oczy, że Karusia aż oniemiała. Dawno, bardzo dawno, kiedy jeszcze żyła matka — ona ten śmiech widziała, a potem nigdy!.. To też klasnęła w ręce, krzyknęła: Jurgis!.. i znowu patrzyła nań ze zdziwieniem.

* * *

Po sześciu tygodniach chata Piktasów aż drżała od hałasu: sprawiono odrazu dwa wesela. Skrzypek, grając szumkę, coraz wyżej zarywał — wszyscy tańczyli, nawet Jurgis próbował. Grzegorzowa, racząc gości, nie wiedziała, czy ma się cieszyć, czy smucić. Prawda, będzie teraz sama panią— ale za to traci dwoje pracowitych robotników i oprócz wszelakiego dobytku — aż strach pomyśleć — jarzmo wołów!

Pisarz, rozweselony, szeptał staroście na uboczu, że pół włóki gruntu można by odebrać od Grzegorza... ale Wiłejko, który to zasłyszał, rzekł:

— Dajcie pokój, nie grzeszcie znowu.

Brolis.

snu hypnotycznego, można odtworzyć całe życie tej 24-letniej dziewczyny.

Na wstępie mówiliśmy nietylko o zmianach poczucia osobistości, lecz także o *przemianach* i *podstawieniach*. Wspomnimy więc i o nich. Przykłady przemian osobistości są dosyć częste, najciekawszym jednak jest wypadek pp. Mitchell i Nott, opisany już w 1816 r. i znany p. t. choroby damy amerykańskiej z Mac-Nish. Dama ta, wykształcona, dobrze wychowana i pozornie zupełnie zdrowa, pewnego razu, bez żadnego widocznego powodu, zapadła w sen głęboki, trwający kilkanaście godzin. Obudziwszy się, utraciła pamięć wszystkiego, czego się uczyła, nie umiała ani czytać, ani pisać, ani rachować, nie znała otaczających osób, ani przedmiotów. Trzeba ją było na nowo uczyć, lecz w tej nauce robiła bardzo szybkie postępy. Po jakimś czasie znowu zapadła w podobny sen, a obudziwszy się, powróciła do dawniejszego, normalnego stanu, lecz natomiast zupełnie straciła pamięć tego, co zaszło podczas owej chorobliwej przerwy. W stanie *dawnym* zapominała o stanie *nowym*, tak bowiem sama nazywała to dwa, naprzemian w ciągu czterech lat powtarzające się napady.

Podstawienia osobistości z łatwością spostrzegamy u osobników zahypnotyzowanych, którym podczas snu poddajemy, że są inną osobistością, a po obudzeniu osoby te zachowują się, jakby w rzeczywistości były takiemi, jakiemi życzyliśmy sobie je widzieć. Ponieważ te doświadczenia znane są czytelnikom z przedstawień hypnotyzerów, nie będziemy więc ich opisywać. Dodać tylko winniśmy i to na zasadzie spostrzeżeń specyalisty prof. Bernheima, że, wbrew przypuszczeniom niektórych, władze umysłowe hypnotyzowanego wcale nie nasilają się, ani też nie stwarzają nowych idej lub zdolności. Choćbyśmy wmówili np. chłopu, że obudzi się poetą, choć po obudzeniu się będzie on udawał nową osobistość, to jednak wszystkie jego myśli i słowa będą odpowiadały jedynie tylko posiadanemu zasobowi wiadomości i wyobrażeń, będzie zatem udawał takiego tylko poetę, jaki w jego umyśle istnieje, a wcale nie będzie rzeczywistym poetą, lub głębokim myślicielem.

Zmiany osobistości, wywołane jakimkolwiek sposobem w osobnikach nerwowo-histerycznych, odbijają się na całym ich organizmie, na uczuciach, na umyśle, a nawet na ruchach dowolnych i mimowolnych. Przekonać się o tem możemy, badając charaktery pisma tych ludzi, zmieniające się stosownie do wmówionego w nich stanu. Pacyent, czujący się w danej chwili dzieckiem, pisze, jak małe dziecko, niezgrabnie stawiając litery; przemieniamy go w lekarza, a wnet pisze on radę lekarską charakterem drobnym, nieczytelnym; ortografii jednak również tu mało, jak w poprzedniej pisaninie, gdyż hypnotyzm może chwilowo zmienić charakter, lecz nie doda pacyentowi rozumu, ani wykształcenia, jak wyżej powiedzieliśmy. W każdym razie, doświadczenie to przekonywa nas o pewnej zależności pisma naszego od charakteru, a tak modne obecnie studya grafologiczne znajdują pewną podstawę. Mało możemy powiedzieć o przyczynach, wywołujących zmiany osobistości. Jest to jeszcze *terra incognita*, materyał niezbadany, znajdujący się zaledwie w okresie gromadzenia faktów, a do dokładnego zbadania przyczyn, wzajemnego związku i wytłomaczenia całej tej pato-psychologii jeszcze daleko. Zwróćmy jednak uwagę na pewne wypadki, sprowadzające nieraz poczucie zmiany osobistości. Do takich głównie należą zmiany w pewnych zmysłach. Najczęściej zmysł słuchu im podlega, a pewne szmery, słyszane w własnem uchu, z czasem w umyśle histeryka zmieniają się w głosy wewnętrzne, walczące z jego sumieniem i rozumem. Stąd powstają halucynacye słuchowe, szczególniej treści religijnej, a osobnikowi po jakimś czasie zdaje się, że w nim, oprócz jego własnej osobistości, mieści się święty jakiś lub dyabeł.

Również niektóre zmiany fizyczne w nerwach zbiorowych i mięśniach, wytwarzają pewne uczucie osłabienia cielesnego, pomimo pozornego zdrowia osobnika, a skutkiem tego powstaje poczucie dwóch osobistości w nerwowym pacyencie. Tak np. pewien epileptyk wmawiał sobie, że tak utył, iż przez żadne drzwi przejść nie może; inni wmawiają sobie, że są ze szkła, z kamienia, z masła itp. i zachowują się odpowiednio do tych przekonań. Inni jeszcze dalej posuwają swe halucynacye, wmawiając sobie, że nie mają ciała, że umarli, nie mówią wtedy o sobie inaczej, jeno jak w osobie trzeciej, o której pytającym udzielają objaśnień. Paralitycy, utraciwszy władzę w jednej połowie, przypuszczają, że chora połowa ich ciała jest inną osobą nieżyjącą, trupem, z którym na całe życie są związani. W jeszcze wyższym stopniu obłędu występuje uczucie podwójnej osobistości u maniaka. Walczy on co do przekonań i czynów z swojem drugiem „ja"; jeden człowiek w nim dąży do dobrego, drugi do złego. Stan ten prowadzi zwykle do zupełnego pomieszania zmysłów.

Podaliśmy sporą wiązankę ciekawych faktów. Jak je wytłomaczymy? Nie wystarczają dzisiaj spostrzeżenia, pragnęlibyśmy najzawilszego faktu znać przyczynę i logiczny związek pomiędzy nią a skutkiem jej, tj. przejawami. Niestety, przy obecnym stanie psycho-fizyologii wytłomaczenia dać nie możemy. Robiono pewne próby w tym względzie, lecz próby niemowlęce. Pomijamy więc podawane przez niektórych autorów tłomaczenia, które krótko panowały, a poświęcimy kilka słów teoryi Magnina i Dumontpallier'a, która jednakże też nie ostała się w nauce.

Na zasadzie połowicznego hypnotyzmu, wywoływanego po tej lub owej stronie chorego zapomocą wrażeń, działających na oko lub ucho prawo lub lewe, wnioskowali oni, że obie półkule wielkiego mózgu są względnie niezależne jedna od drugiej. Poszli nawet dalej i przypuścili, że wszelka walka myśli, od zwyczajnej chwiejności w zdaniach, aż do zupełnego poczucia dwojakiej osobistości, wypływa z tego dualizmu mózgowego. Gdy jednocześnie życzymy sobie wykonać uczynek dobry i zły, gdy mamy zachcianki kryminalne lub cnotliwe, gdy waryat na chwilę odzyskuje przytomność, gdy pewne osobistości czują się dwojakiemi istotami itp. — zależy to, wedle tej teoryi, od różnicy w ustroju półkul. Jedna ma być zdrową, druga chorą. Teorya ta pada, na zasadzie faktów, znanych w medycynie, a mianowicie wiadomo, że w niektórych wypadkach wrodzonego zaniku mózgu, osobniki od dzieciństwa posiadały jedną tylko jego półkulę, a pomimo to umysłowy ich rozwój był całkiem prawidłowym, a oni zupełnie byli podobnymi do innych ludzi. Skutkiem tego słynny psychiatra Griesinger, przypominając pewien wiersz z „Fausta," powiedział: „Nie jedna dusza w nas zamieszkuje, lecz wiele dusz."

Nauka winną nam jest odpowiedź na to to pytanie, a szybki jej rozwój i ogólne zainteresowanie się temi kwestyami, liczne i sumienne prace, przedsiębrane w tym kierunku, pozwalają mieć nadzieję, że w niedalekiej przyszłości nadejdzie chwila, w której spadnie zasłona z „dziwów psychologicznych" tak, jak po części spadła już z fizyologicznych, astronomicznych i wielu innych.

Dr L. Wolberg.

PROCESY DZIEJOWE.

III. Stanowisko ascetów w społeczeństwie.

(Dokończenie).

Lecz głównego zastępu dostarczają t. zw. „tramps" (włóczęgi) — osobliwy wytwór życia amerykańskiego. „Póki nie znalazłem się w Ameryce, nie wiedziałem, co to jest ciężka praca" — zeznaje przed inspekcyą fabryczną wychodźca angielski. Napięcie pracy i walka o chleb dosięgają takich rozmiarów, iż liczne osoby, pracowite, lecz powolne w czynnościach, nie mogą wydołać. Włóczą się z miejsca na miejsce, jako chwilowi najmici. Są to „tramps," włóczęgi nie z powołania i próżniactwa, lecz z innych powodów, już dla zbytniej wrażliwości na matactwa życia, już wskutek nieudolności do bezustannego natężania myśli i mięśniów. Komuny szekerskie i inne, nie znające tego natężenia życiowego, wsiąkają w siebie owe żywioły wykolejone i tem samem wyróżniają się z pośród innych grup społecznych nawet składem temperamentów. Podobną rolę pochlaniaczy wiadomych pierwiastków odgrywają i „białe gołąbki" *), lecz gdy szekerzy ograniczają się do roli biernej, ci są fanatykami w takim stopniu, iż poważnie traktowali plan zagarnięcia władzy nad kilkodziesięciomilionowem państwem i urządzenia „uanielonej" rzeczypospolitej teokratycznej. Lecz niech znikną warunki, jak w Ameryce, utrzymujące anarchię produkcyi, „tramps" zaś znajdą pracę odpowiednią siłom, szekerzy stracą podstawę bytu. Znikną śmiercią naturalną, z braku w gruncie społecznym pożywnych dla siebie soków... Pierwszorzędną więc rzeczą w utrzymaniu sekty jest umiarkowanie żądań i wytworzenie mniej doskonalszych kadrów, lecz za to pozwalających na bytowanie chociażby drogą reprodukcyi naturalnej. Zrozumieli to „biali gołąbkowie" z III i IV w., czyli manichejczycy. Chrystus, który ich zdaniem zszedł w postaci Parakleta Manesa powtórnie na ziemię dla obwieszczenia już „czystej prawdy," za najpierwszą zapowiedź postawił wyzwolenie się z więzów materyi. Wyklęto obcowanie płciowe, użycie mięsa i wina, nawet pracę fizyczną, wszystkie siły winny zostać skierowane ku rozmyślaniu o Paraklecie. Lecz zrozumiano, iż podobne postępowanie może być udziałem jedynie wyjątkowych natur. Wyróżniano więc hierarchię doskonałości. Tylko „doskonali" sprawowali przykazania w całej pełni, lecz za to tylko oni po śmierci wstępowali do „królestwa światłości." „Niedoskonali," używający życia, po zgonie w drodze metampsychozy musieli oczyścić się z swej natury pożądliwej. Wprawdzie podczas niektórych obrzędów dochodzono do orgij płciowych, lecz ponieważ nie liczono ich za występek, musimy przypuścić podobne usprawiedliwienie, jak u białych gołąbków. Jednakże najcharakterystyczniej ułożył się stosunek pomiędzy wydzieloną grupą ascetyczną a resztą wyznawców w wielkich religiach dualistycznych. „Człowiek świecki powinien żywić duchownego i uważać to sobie za zaszczyt, że jego ofiarę przyjęto. Większą jest zasługą żywić jednego mnicha, niż tysiące ludzi świeckich — powiada religia Nirwany. W górach Tybetu powstał szczególny świat zakonny; znajduje się tu do stu klasztorów, liczących każdy po kilka tysięcy mnichów. Według jednych podróżników, część piąta tybetańczyków, według innych — aż dwie trzecie zbawia świat w zakonnej sukni, reszta zaś ludności wraz z synami dalszych okolic, ciągnącymi z „świętopietrzem," pracują na tę rzeszę

*) Warunki psychiczne prozelityzmu, patrz między innymi Fedosiejewicca „Iszczuszczyj prawdy," *Ot. Z.*, 1882, V.

zbawicieli. Wypracowano ustawę teokratyczną i urzeczywistniono ją—pod tym względem budyzm był szczęśliwszy od dalaj-lamizmu europejskiego. Ze społeczeństwa zdjęto ciężar krańcowego samoumartwiania i zażądano jedynie za to manny doczesnej dla ascetów. Podobny stosunek powstał i wśród drugiej wielkiej religii globu ziemskiego. Renan powiada w *Marku Aureliuszu*: „Ideał doskonałości, co stanowi podstawę galilejskich nauk Jezusa, nie może istnieć w świecie, wypadało dlań stworzyć światy zamknięte — klasztory. Ewangelia w istocie rzeczy jest raczej *Enchiridion* klasztorowem, niż kodeksem moralności: doskonały chrześcianin jest mnichem, jak mnich — konsekwentnym chrześcianinem. Klasztor jest miejscem, gdzie ewangelia, będąca gdzieindziej utopią, dosięga urzeczywistnienia. Człowiek świecki, zaspokojony tem, iż moralność Jezusowa jest gdzieś spełnianą, łatwo wierzy, że tak wysokie zasady doskonałości nie są dla niego." W powyższem badacz francuski stwierdza jedynie słowa Ojców kościoła. Tak, Origines powiada o pustelnikach, że „są obowiązani do walki za słabych modlitwą, postem, pobożnością, czystością i wszystkiemi cnotami, świat zaś jedynie korzysta z ich bohaterskich poświęceń." Myśl, iż asceci swem postępowaniem wynagradzają niejako niebu obojętność ze strony ogółu, że ich czysta ofiara z pożądań ciała stanowi jakby równowagę dla nieprawości, znajdujemy u wszystkich teologów. Jak obecność dziesięciu sprawiedliwych ocaliłaby Sodomę, podobnież uczynki wewnątrz pustelni stanowią tarczę dla ludzkości—mówi *mattoida* Hieronim. Klasztory stają się w tem rozumieniu klapą zbawienia i bezpieczeństwa społecznego. Gdy więc jedni w szale dewockim praktykowali samoudręczenie, inni mogli ożywić życie, ścierając grzechy wzniesieniem klasztorów i czynieniem zapisów. Powstał *sui generis* organizm ideowy: zbawiających ascetów na tle grzeszących „synów chuci." Wkroczono na drogę, wytkniętą przez budyzm. Tu wierni mogą zupełnie zapomnieć o wypełnianiu obowiązków kultu: nabywają od „świętych" mnichów maszynki, obracające się na wietrze. Wkłada się w nie kawałek papieru z napisaną modlitwą i młynek poruszając się, sławi kogo trzeba i wyręcza wyznawcę. Bogatsi kupują pozwolenie na budowanie wodnego młyna i prąd wodny, obracając koło, szepcze za wiernego słowa modlitwy. Rolę wiatraczków i młynów odgrywały w Europie zakony. Znoszono tutaj dary ziemskie i mężowie ascetyzmu późniejszego, posilając się owocami doczesności, zbawiali świat chrześciański lub obdarzali go wynalazkami w rodzaju odpustów. Pod tym wpływem rozjuszony katownik własnego „osła," wystawiający się na kąsanie komarów, przebiegający pustynię na czworakach w celu wyszukania korzonków, nagabywany przez biesa, zanika z widowni historycznej — grona „doskonałe" stają się doskonałemi w sztuce użycia... Wracamy wszakże do pierwszego wątku. Nim doszło do uznania tych praw, wieki upłynęły w zapasach o przyznanie stanowiska. Pierwsi mistrzowie ruchu wydzielili się z pośród „rzeczypospolitych anielskich," wkrótce po zgnieceniu montanistów, lecz nie mieli zamiaru, jak ci, zbawiać wszystkich — cele były wprost samolubne: zasłużenie samemu na niebo. Epidemia pustelnicza doszła niebawem do potężnych rozmiarów i wyłoniła z siebie nową, klasztorną społeczność, tem charakterystyczniejszą, iż ta powstała z odprzańców społecznych, co w zamiarach jednostkowych osobistego zbawienia uciekli od ludzi. Nie mamy tu więc owych zbiorowych narkotyków, jak tańce rytmiczne, i nawet gdy zorganizowano zbiorowość klasztorną, pierwiastek indywidualny góruje. Wzrastając w liczbę, społeczność ta ujrzała się zmuszoną do uregulowania swych stosunków względom innej, opartej na zaspokajaniu ciała. W ich wyznaczeniu nie wahała się ani chwili — i próbki zapatrywania już widzieliśmy. Prace socyologa klasztornego, Hieronima, dostarczają masy materyału. Tak, ten mędrzec w społeczności doczesnej uznaje zaledwie jednę dobrą stronę — dostarcza ona młodzianów i dziewic, co ślubują dozgonną czystość ciała. Stąd też pochodzą inne jeszcze rady. Można wskazać kilka ustępów w ówczesnej literaturze, gdzie obcowanie małżonków o tyle uchodzi za godziwe, póki nie nastąpi zapłodnienie... Słowem, już w pierwszej chwili istnienia zakony uznały się za kwintesencyę i tyle znosiły doczesność, ile ta służyła ich celom. Z upływem czasu zapatrywanie to złagodniało; „światu" wiele pozwolono, byleby nie zapomniał składać należytego haraczu na misyę zbawczą. Nawet inkwizycya już nie wysławia żądań Hieronima, przeciwnie, jest jedynie instytucyą dla obrony wiary w wymienione posłannictwo. Jużeśmy wspominali, że sekty XI—XIV w. były obleczeniem w szatę religijną protestów przeciw rusztowaniu feodalnokościelnemu. Prądy te zagrażały i kąskom, pożeranym przez ascetyzm nowej formacyi. I oto ku obronie zagrożonego stanowiska wyłoniono inkwizycyę...

Streścimy w kilku słowach nieco rozproszone wywody obecnego artykułu. W poprzednim wskazaliśmy, że porywy ascetyczne zjawiają się w następstwie przejść społecznych. Człowiek podczas pewnych epok rozkładowych wśród rozterki wewnętrznej, odzwierciedlającej zresztą zamęt społeczny, wysuwa mistycyzm, filozofię antispołeczną. Między innemi powstają wtedy sekty o kolorycie ascetycznym. Po kilku wiekach walki nastaje przecież chwila, pełna ufności w doczesność. Wytworzone niegdyś doktryny, jeżeli nie chcą zaniknąć, winny przystosować się do otoczenia. Nieugięte w swych żądaniach zamierają; oportunistyczne, które umiały obejść zapowiedzi wyznania przez wprowadzenie pewnego podziału pracy, jedynie pozostają. Grupy „wybranych," „doskonałych" uprawiają samoudręczenie, pozwalając innym używać życia, lecz natomiast stwarzają odpowiednią socyologię obowiązków, w której przywłaszczają sobie posłannictwo zbawcze. Używająca doczesność wypłaca się po swojemu — darami materyalnymi. To nie pozostaje bez wpływu na obdarowanych, nastroje cielesnicją, „osioł" tyje i poczyna brykać w sposób kompromitujący, jak chociażby w klasztorach żeńskich XVI i XVII wieku... Być może, powrócimy kiedykolwiek do tego drobiazgowo na tle porównawczem. Bo i westalki Rzymu były prześladowane przez duchów, którzy przybierali postacie Apolona i derwisze mahometańscy są stekiem próżniaków, wiedzących, że na niczem im nie zbraknie, gdy złożą śluby ubóstwa...

Lud. Krz.

LUDY SŁOWIAŃSKIE
na ziemiach niemieckich.

W epoce kiedy szczep germański śmiertelną toczy walkę z słowianami, stosunek liczebny obu wrogów zmienia się z każdą niemal chwilą. Polityka silnej pięści, zastąpiwszy w Niemczech politykę sprawiedliwego berła, jest wprawdzie bezwładną wobec potęgi słowian wschodnich, ale na własnem swem terytoryum, gdzie działać może jarzmem i mieczem, robi znaczne szczerby w pniu słowiańskim. Rezultat dotychczasowy i przyszły, oczekiwany tego systematycznego dławienia zaciekawia w najwyższym stopniu nietylko nas, którzy na własnej skórze czujemy go najdotkliwiej, ale i obojętną na sprawy polityki naukę.

Znakomity etnograf francuzki Karol Grad w dziele *O narodzie niemieckim* (*Le peuple allemand*), mającem ujrzeć wkrótce światło dzienne, przedmiotu tego dotknął bliżej i jeden z rozdziałów mu poświęconych ogłasza już w *Revue scientifique*.

W obliczeniach swych opiera się on na tak poważnych źródłach, jak Herman Berghaus, Ryszard Boeckh, Czörnig, Virchow; to więc, co nam przynosi nowego, zasługuje chyba na wiarę i zaznaczenie.

Przedewszystkiem tedy powstaje on za słynnym Quatrefages'em, autorem dzieła o *Rasie pruskiej*, przeciwko bezmyślnie powtarzanemu twierdzeniu, jakoby istniała jednolita i czysta rasa niemiecka. Dawno minęły czasy Tacyta, kiedy mówiło się o jakiemś podobieństwie familijnem wszystkich germanów, o nieskalaniu jej przez żadne obce domieszki itd. Dane dotyczące cech antropologicznych: koloru oczów i włosów, kształtu głowy, wzrostu, a zebrane w dobie najnowszej— bardzo niewiele mają wspólnego z charakterystyką niemców z epoki rzymskiej.

I dzisiaj ludność, zamieszkująca Niemcy, daleką jest od jakiejkolwiek choćby jednolitości. Według spisu, sporządzonego w grudniu 1880 r., na 45,234,061 mieszkańców przypada tam niemców 41,512,000, polaków 2,860,000, francuzów 300,000, duńczyków 150,000, litwinów 150,000, wendów 137,000, czechów 54,000. Ale istotna cyfra niemców przewyższa sumę przytoczonych tutaj. Aż po brzegi Elby, w marchii Brandeburskiej, na Pomorzu, na Szlązku, w ks. Poznańskiem i dwóch prowincyach pruskich rdzeń ludności ma w żyłach swych krew słowiańską. Naturalnie, nie można tego powiedzieć o całych 13 milionach, zamieszkujących wschodnie prowincye Prus, (które liczą ogółem 27,279,111 m.), ale to pewna, że cyfra jednostek pochodzenia słowiańskiego znacznie przewyższa w nich cyfrę rodowitych niemców, jeśli, rozumie się, przyjąć za zasadę język.

Dzięki humanitarnej gospodarce niemców, stosunek ten maleje od spisu do spisu, na niekorzyść słowian, pomimo że płodność szlązaków i poznańczyków nie ustępuje zgoła płodności narzuconych im kolonistów niemieckich. Tak np. w r. 1882 cyfra urodzeń z prawej strony Elby doszła do 41 na 1,000, z lewej zaś, gdzie żywioł germański przeważa, tylko do 37 na 1,000. W ks. Poznańskiem w roku przytoczonym cyfra urodzeń przewyższała cyfrę zejść o 15 na 1,000, gdy w Prusiech niemieckich tylko o 12, a w całym państwie przeciętnie tylko o 11.

Właściwie słowianie pod zaborem niemieckim są tylko niedobitkami swojego szczepu, który niegdyś władał całą Saksonią, dużą częścią Hanoweru i Frankonii. Z czasem odrzucono ich na prawy brzeg Elby; Pomorze i Szlązk niemczyły się dosyć pokojowo, a krwawe wojny między Elbą a Odrą w połączeniu z armiami kolonistów z nad Renu i Turyngii, z rycerzami zakonów teutońskich, posunęły placówki germańskie aż pod Wisłę, Nogat i Pregel i utwierdziły się w takich fortecach jak Toruń, Grudziąż, Królewiec, Marienburg i inne, dziś jeszcze tworzące wał obronny przeciw Rosyi.

Prusacy pierwotni, prawi posiadacze tych krain, nie mają nic prawie wspólnego z prusakami w znaczeniu nowszem tego wyrazu. Tamci to starożytni *borussowie*, dosłownie— ludzie leśni, osiadli na wybrzeżach rzeki Russ, stanowiącej północną odnogę Delty, jaką przy ujściu swem tworzy Niemen. Nazwa *Preussenland* powinna być stosowaną właściwie tylko do dwóch prowincyi pruskich z ogniskami w Królewcu i Gdańsku. Narodowość zaś, dzisiaj używająca w geografii miana pruskiej, składa się po prostu z niemców, tak dalece, że Boeckh gwałtownie protestuje przeciw nazywaniu ich „prusakami." Jego szowinizmowi, iście teutońskiemu, bardzo pochlebia, że na 1,450,000

niemców było w r. 1869 tylko 140,000 prusko-litwinów na 57 milach kwadratowych przestrzeni, gdy w r. 1849 Berghaus znajdował ich jeszcze na powierzchni dwa razy większej (120 mil. kw.).

Prusacy i litwini, zmieszani w jedno plemię i prawdopodobnie od wspólnego pnia pochodzący— ocierają się wszędzie o niemców, nawet w najbardziej rodzinnych swych ziemiach, jak dzisiejsze okręgi Insterburg i Labiau. Ogółem językiem letto-litewskim mówi dziś w Niemczech około 150,000 jednostek; przeważa on jeszcze w okolicach Tylży, Heidekruga i Memla — gdzieindziej zanika stopniowo—na chwałę germanizmu, pomimo iż lud uporczywie trzyma się zwyczajów i mowy ojców. Według Grada żywioł prusko-litewski stanowczo został już przez niemców pokonany i zasymilizowany, ulatnia się on niby substancya eteryczna nietylko zresztą w obrębie Niemiec, ale i w nadbałtyckich prowincyach Rosyi — dzięki wytrwałej kolonizacyi i propagandzie niemieckiej, którą kierują klasy bogate i ukształcone.

Inna gałązka szczepu słowiańskiego *), również skazana na pochłonięcie przez germańskiego Lewiatana — łużyczanie, jest jeszcze słabszą. Lewiatan ceni w niej to tylko, że dostarcza Berlinowi mamek, odróżniających się strojem. Ludność łużycka liczyła w r. 1860 około 122,400 głów, rozdzielonych na 694 gmin i zajmujących 60 mil kwadr. — niezależnie od 13,300 mówiących po wendzku ale rozsypanych po miejscowościach germańskich. Do niedawna jeszcze kraina wendów rozciągała się od Bobra do Elstry i do Teltowa na północ; dzisiaj wciśnięci między Saksonię i Prusy stanowią nie więcej jak 16% miejscowej ludności. Szczególnie zmalała ich liczba od r. 1843 do 61. W Saksonii jednak, gdzie germanizm nie tak żarliwie jest krzewiony, statystyka dostrzega wyraźny wzrost ludności wendzkiej. Język niemiecki jednak i tam postępy czyni.

Wogóle klasyfikacye podług języków, sporządzone w latach 58 i 61 w krajach polskich, czeskich i prusko-litewskich wykazują stopniowy tryumf gwary niemieckiej. W ciągu bowiem lat trzech liczebny stosunek mówiących narzeczami słowiańskiemi spadł w marchii Brandeburskiej z 3,3% na 2,1%, na Szlązku z 24,3% na 23,1% w ks. Poznańskiem z 55,2% na 54,5%.

Ale słówko o czechach — ich sprawa ma się o wiele lepiej. Już na Szlązku znaleźć ich można od 50 do 60 tysięcy (przeważnie hrabstwo Glatz i księstwo Troppau), gdzie żyją otoczeni bądź polakami, bądź niemcami. Czesi brandeburscy są już dawno zniemczeni, ale wynagradza im to sowicie stosunek do żywiołu wrogiego w sąsiedniej Austryi. Według spisu z r. 1847 na ogólną cyfrę ludności 32,573,000 przypada 6,132,742 czechów obok 7,877,675 niemców. Polityka Habsburgów nie przez większą od niemieckiej humanitarność, lecz przez większą niedołęstwo zapewnila czechom taką siłę, że walkę o niepodległość narodową posuwają aż do śmieszności, do wymagania osobnych pomieszczeń w szpitalach idyotów.

Podług Czörniga w Austryi tyrolskiej i salzburskiej jest słowian niewielu, za to w dolnej — już do 5%, w Styryi 38%, w Czechach 62% na Morawach 74%, na Szlązku 47%. W Sławonii i Kroacyi niemcy rozsiani są bardzo rzadko; w Dalmacyi nie ma ich prawie, także wśród karyntyan i słowieńców nie imponują liczbą. Przestrzeń zamknięta rzekami Dunajem, Drawą i Murem liczy nie więcej nad 40,000 niemców na 2,230,000 mieszkańców.

Przeciętnie żywioł germański w Austryi stanowił w r. 1880—21 do 22%. Grad korząc się przed ideą narodowej odrębności, widzi jednak w tych cyfrach świadectwo godnej pożałowania niemocy państwowej. My w tem widzimy świadectwo, że ilekroć francuz zaczyna filozofować, przestaje być poczytalnym.

Ale oto dotarliśmy do żywiołu polskiego. Etnograf nasz przyznaje, iż żaden lud prócz chyba alzatczyków i lotaryńczyków nie opiera się tak mężnie germanizacyi na przekór administracyjnym gwałtom i zapamiętałemu tępieniu zwyczajów, upodobań, poglądów polskich, którem szczycili się urzędnicy pruscy jeszcze w r. 1833. W tym względzie Grad jako prawdziwy francuz ocenia należycie polityczne hasła niemców i całą bezceremonialność, którą jeszcze w r. 1849 odpowiedział minister Manteuffel na skargi posła Janiszewskiego: „Jeżeliśmy uczynili Poznaniowi jaką krzywdę, to powetujemy ją — ale ja twierdzę, żeśmy jej wcale nie wyrządzili!"

Nie wchodzimy z Gradem w to, jak daleko sięgała mowa polska na ziemiach dziś niemieckich— w czasach dawnych — to pewna, że obręb jej zmniejsza się straszliwie. Ucierpiała ona szczególnie w Prusiech północnych w kraju kaszubów, otoczonym rzekami Persantą, Necą i Wisłą i brzegiem morza. Na 15,000 mieszkańców Pomerelii zaledwie piąta część według spisów ostatnich używa mowy polskiej, pomimo iż wszyscy prawie są pochodzenia słowiańskiego. Bardziej na południu, między Toruniem a Grudziążem oba żywioły zmieszały się z większą równomiernością. Na 442 osad chełmskich w 809 żyje jeszcze polszczyzna. Kraina Bydgoska jest już zniemczona zupełnie. Na południu Necy znowu stosunek się poprawia, w miarę zagłębiania się w dawną Wielkopolskę i Szlązk górny.

Geograficznej granicy obu języków Grad nie odważa się przeprowadzić, gdyż wszędzie kolonie niemieckie wdzierają się klinami w miejscowości polskie, a polskie giną czasami pośród otaczających je zewsząd zniemczonych.

O wiele lepiej jest w Galicyi i na Szlązku austryackim. Tam niemców znajdujemy nie więcej jak 10% a w obwodzie krakowskim nie więcej nad 3%. Boeckh stosunek ten przesadza na korzyść swych rodaków, zaliczając do nich zawsze i wszędzie żywioł semicki, który w krakowskiem stanowi około 7%.

Napomknąwszy jeszcze o niemcach w Królestwie polskiem (w gub. Płockiej, Warszawskiej i pow. Augustowskim, stanowią 1/11 część ludności, w samej Warszawie 4%), Grad otrzymuje na wszystkie trzy dzielnice polskie, z dziesięciomilionową ludnością, 850,000 niemców czyli 8,5%. Obniża to znakomicie cyfry, podawane u nas zazwyczaj w płytkim optymizmie — a według Grada w niedalekiej przyszłości obniży je jeszcze więcej — konsekwentna i nieubłagana polityka pruska. Straszliwa ta machina, mająca na swe usługi 41,512,000 wiernych w samych Niemczech, a do 60 milionów w całej Europie, w głębokiem przekonaniu francuzkiego etnografa prędzej czy później zmiażdży żywioł polski pod berłem niemieckim. Od roku 1820 liczba niemców w Europie *podwoiła się*; pomimo iż wyemigrowały do Ameryki aż 4 *miliony*; są więc dziś najgroźniejszymi współzawodnikami Rosyi.

Wyrok zagłady dla polaków pruskich Grad powtarza wielokrotnie— niestety ponuro te wróżby mają fatalne potwierdzenie w wymowie cyfr. Miejmy rozkoszną nadzieję, że najbliższy spis ludności, po rugach pruskich i pomyślnem zakwitnięciu prawidłowej kolonizacyi, skupującej masami ziemie — przysporzy nowych dowodów.

R. D.

*) Grad upatruje w litwinach typ stanowczo słowiański.

JĘZYKOZNAWSTWO.

Prace filologiczne, wydawane przez J. Baudouina de Courtenay, J. Karłowicza, A. A. Kryńskiego i L. Malinowskiego. Tom II, zeszyt II. Warszawa, 1888.

Oprócz ciągu dalszego prac p. Kaliny (Przyczynek do historyi koniugacyi słowiańskiej) i Malinowskiego L. (Studya nad etymologią ludową), pp. Kamiński i Kryński wzbogacili zeszyt ten nowemi rozprawami, mianowicie, pierwszy przedstawił nam zarys ostatniego sporu w sprawie rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego (Ostatni zwrot w sporze o starożytność rękopisów królodworskiego i zielonogórskiego), drugi zaś obdarzył nas wiązanką przysłówków na *sky*, powstałych z przyp. 6 l. mn. deklinacyi rzeczownikowej przymiotników, np. *przyjacielski* (po przyjacielsku) z w. XV, *pieszki* (pieszo) z w. XVI i ludowe *knetki*, tj. prędki (u górali zakopiańskich), *preczki* — wciąż (w ziemi dobrzyńskiej), a w Poznańskiem i Kujawskiem: „pójść na *preczki*" — pójść sobie precz itp. Co do rozprawy p. B. Kamińskiego o rękopisach królodworskim i zielonogórskim, zwracamy uwagę, że spór o autentyczność tych podrobionych zabytków nie od czasów Büdingera i Fejfelika (†1862) początek swój wywodzi, lecz dawniejszych sięga czasów. Otóż rzecz się tak miała. W roku 1818 hr. Fr. Kolowrat, najwyższy burgrabia czeski, otrzymał pocztą pakiet, zawierający 4 arkusze pergaminowe. Nie wiedząc co z tem zrobić, odesłał je do hr. Kacpra Sternberga, który polecił Puchmayerowi zbadanie rękopisów. Ten zdjął z nich kopię, przepisał według nowej pisowni, przełożył prozą na język niemiecki i opatrzył objaśnieniami. Niepospolity jednak na owe czasy nauki Dobrowski, powziąwszy o tem wieści, w liście pisanym do ks. Wincentego Zahradnika, wręcz bez ogródek nazywa rękopis ten łataniną, sfabrykowaną przez Jungmanna, Hankę i pisarza jego Józefa Lindę. Niebawem też uczony ten slawista przywiódł do tego Muzeum narodowe czeskie, iż rękopisu nadesłanego sobie przez Jungmanna nie przyjęło. Wtedy ten udał się listownie do Benedykta Rakowieckiego w Warszawie, który pierwszy dopiero falsyfikat ten w *Prawdzie Ruskiej* (1819 r.) wydrukował. Gdy w r. 1822 bracia Antoni i Józef Jungmannowie wydali poprawną rzeczonego zabytku edycyę (czasopismo *Krok*, zeszyt 3), Dobrowski w art. p. t. *Literarischer Betrug* (*Hormayer Archiw* nr. 46, 1824) ostro gani rękopis zelenohorskij, i na obronę W. A. Swobody (*Archiw* nr 64) skuteczną daje odprawę (*Archiw* nr. 79 i *Wiener Jahrbücher*, zesz. 27 z 1824). Bartłomiej Kopitar był pierwszym, co wystąpił przeciwko autentyczności słownika powszechnego, wydanego przez Hankę (*Zbjrka neydawněgszjch slownjku latinsko-czeskych*. Praha, 1833) p. t. *Wacerada Mater verborum* (patrz art. Kopitara w *Repertorium der gesammten deutschen Literatur*, wyd. v. Gersdorf, Jahrg. 1837. Bh. XIV, str. 183 i Hesychii *Glossographi discipulus*, ed. Kopitar, Vind. 1840 r.). P. Kalina umieścił w *Pracach fil.* drukowaną przez A. W. Maciejowskiego („Dodatki do piśmiennictwa polsk." str. 150) komedyę o *mięsopuście*. Jest to wierszowana dysputa plebana z Hanuszem, który będąc prostakiem, wzywa studenta witenberskiego, aby z księdzem w sprawie utrzymania mięsopustu polemizował. Zabytek nietylko pod względem obyczajów XVI w. ale i języka godzien uwagi. P. pr. Nehring przywodzi „Ośm kartek z nieznanej starej książeczki do nabożeństwa," przyklejonych do Adagiów Erazma Rotterdamskiego (druk z r. 1515) w bibl. wrocł. Niestrudzony p. Karłowicz umieścił *dziesięć pieśni mazurskich* wydrukowanych w *Altpreussische Monatsschrift* (t. XXI str. 59—80), i pieśń staroczeską o narodze-

niu Jezusa, wydrukowaną niegdyś w *Monatsschrift von und für Schlesien* (1829). Oprócz tego są jeszcze drobne wzmianki i uwagi pomienionego autora (zaduszniki, łańtuch, rántuch itp.).

J. F. Gajsler.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

E. Orzeszkowa. *Nad Niemnem*, powieść, trzy tomy. Warszawa, Gebethner i Wolff.

Twórczość artystyczna do pewnego stopnia używa tych samych metod, co badanie naukowe. Tu i tam mamy indukcyę i dedukcyę. Pierwsza zbiera szczegółowe fakty, objawy, znamiona i wyprowadza z nich bądź ogólne wnioski, bądź typowe postacie; druga wniosek ogólny rozmienia na prawdy szczegółowe lub pewną zasadę wciela w pojedyncze postacie. Ale jak wiedza, będąc działaniem umysłu wielce złożonem, nie może nigdy poprzestać na jednej metodzie, podobnie i twórczość posługuje się obiema, tylko, równie jak tamta, jednej nadaje przewagę. Ta przewaga utrzymuje różnicę. Uwydatni się ona każdemu, kto zestawi np. dramaty Shakespeare'a z dramatami Dumasa (syna). W pierwszych widzimy gatunkowe upostaciowania natury ludzkiej, zebrane drogą obserwacyi, w drugich założenia teoretyczne, dowodzone praktycznie zapomocą osób. I w tych ostatnich jest indukcya, ale ona ulega dedukcyi.

Nie będę tu drobiazgowo rozważał, który rodzaj twórczości posiada wyższość; zauważę tylko krótko, że zawisło to naprzód od miary talentu, a powtóre od miary założeń. Jeśli te są zamknięte w szczupłych granicach czasu i miejsca, wartością swoją po za ten obręb nie sięgną. Gdyby nawet Molière napisał komedyę, wymierzoną przeciw opodatkowaniu krótkich włosów przez jakiegoś współczesnego mu księcia, nie zajęłaby ona dziś nikogo. Natomiast *Faust*, *Manfred*, *Prometeusz* — przeżyją wieki, nietylko dzięki geniuszowi autorów, ale także dzięki ideom tych poematów.

Zaprzeczyć wszakże trudno, że artyzm dedukcyjny nie stwarza nigdy ludzi tak pełnych, jak indukcyjny. Tamten bowiem wydobywa z nich jedynie pewne, potrzebne mu do założeń siły i znamiona, podczas gdy ten usiłuje ich przedstawić wszechstronnie; tamten strzeże logiki swego dowodzenia, ten — logiki życia.

Do utworów przeważnie dedukcyjnych należy powieść społeczna, tak zwana— tendencyjna. Bierze ona ze swego czasu idee, zasady, godła, natryskuje niemi postacie mniej lub więcej wiernie z życia przerysowane, zaciera w nich cechy niepotrzebne i ustawia te profile w stosunkach pożądanych lub wprawia w ruch ku celowi z góry wytkniętemu. U nas jedno z pierwszych miejsc śród pisarzów tej grupy zajmuje Orzeszkowa. Zawsze czuła ona widoczną skłonność do prac tendencyjnych. Łącząc z wysokim talentem umysł bardzo ukształcony, żywo uczestniczący w zagadnieniach swojego czasu, bierze ona je kolejno i gotowe rozwiązanie wplata w tkanki powieściowe. Niewątpliwie, może najbardziej dolega nam dziś sprawa stosunku inteligencyi wiejskiej do ludu. Jak zniżyć warstwę wyższą a podnieść niższą; jak zapełnić szeroką i głęboką między niemi przepaść, jak pokonać wzajemne wstręty, zadawnione nałogi i uprzedzenia; jak u góry zaszczepić obowiązek a u dołu rozniecić oświatę — nad temi pytaniami pracujemy niemal wszyscy. Orzeszkowa odpowiedziała sobie tak:

Inteligencya wiejska samolubstwem i pogardą dla ludu zawiniła wobec niego ciężko i sama uczyniła go takim, jak on jest: ciemnym, dzikim i nieufnym. Dla odpokutowania swych grzechów, a raczej dla rzucenia mostu na wiecznie rozwartą otchłań, po którym przejdzie interes tej klasy w zgodzie z dobrem ogółu, musi ona wykrzewić ze swych serc odrazę, zbliżyć się do roboczej masy, traktować ją po ludzku, wmieszać się w jej życie, otworzyć swą duszę dla przyjęcia jej uczuć i myśli, zrozumieć ją, uszanować, ocenić i pokochać, a nawet spoić się z nią związkami najściślejszymi.

Takie hasło, taką zasadę, czy formułę socyologiczną wzięła autorka z prądu, który obiega naszą sferę demokratyczną. Z tego ogólnego wniosku, przy pomocy materyału obserwacyjnego, wysnuła dedukcyjnie rozumowanie artystyczne.

Panowie i chłopi — to ogniwa w łańcuchu społecznym krańcowe, za zbyt odległe, więc wybrała nieco bliższe: panów i szlachtę zagonową, która w swej duchowej rudzie ma cieniutkie żyłki kruszcu dworskiego.

Jacyż to są panowie? Benedykt Korczyński, posiadacz średniego folwarku, człowiek uczciwy, ale wszelkiemu apostolstwu bratania się z ludem obcy. Nie krzywdzi prostaków, ale ich łaje brutalnie, ściga sądownie za szkody i trzyma w należytem od siebie oddaleniu. Jego żona egoistka, zasłuchana w grę własnych, rozstrojonych nerwów i zapatrzona w korowód chorobliwych widziadeł skapryszonego serca. Ich syn, napojony w szkołach miłością dla ludu, wycieka ku niemu i powoli staje się przeciwnikiem ojca. Mieszka u nich stara panna, Marta, którą kiedyś chciał poślubić szaraczek, ale ona go ze wstydu, choć wbrew szczeremu pragnieniu, odtrąciła. Pod jej opieką i wpływem pozostaje młoda Justyna, którą kiedyś rozkochał w sobie i opuścił kuzynek, a która teraz będąc przedmiotem krzywdzących pożądań i ofiarą nudów, odrywa się od swego otoczenia i coraz bardziej ciąży do świata pracy, prostoty, szczerości, gdzie znajduje młodzieńca Janka Bohatyrowicza, wywierającego na nią silny urok. U Korczyńskich bywa wyszarzany, wymiętoszony i wyniszczony hulaszczem życiem pan Różyc, morfinista, który naprzód pragnie Justynę zbałamucić, a wreszcie zaślubić.

Drugie gniazdo szlacheckie zawiera poważną wdowę po bracie Korczyńskiego, poległym w zawierusze politycznej. Jest to kobieta zacna, kiedyś wraz z mężem, zapamiętałym demokratą, posuwała się ku ludowi, ale teraz wróciła do arystokratycznego kierunku swych upodobań. Jej syn, Zygmunt, niby malarz, trapi młodziutką i zakochaną żonę potrzebami pobudzeń artystycznych, do których ma mu służyć Justyna.

Trzecia odmiana szlacheckiego gatunku składa się z próżniaka i pieczeniarza Kirły, oraz jego żony zapracowanej i wyręczającej męża w gospodarstwie.

Na dalszych planach stoją figury o duszach płytkich, ciasnych i pustych.

Po drugiej stronie obrazu mrowiska chłopskie, albo drobno-szlacheckie. Śród nich wyróżnia się stary Anzelm, niegdyś wzgardzony konkurent Marty, oraz jego bratanek. Jan, zakochany w Justynie i przerażony zuchwałością swych marzeń. Ale ponieważ ona, naprzód z ciekawości a powtóre z upodobania, coraz głębiej wsuwa się w jego otoczenie i przyrasta uczuciami do jego stosunków, więc młodzieniec coraz bardziej podnosi zasłonę swego serca. Panna ośmiela go bardzo: rozmawia z nim przy orce, zwiedza sławne miejsca, chodzi po lesie, jeździ po Niemnie, przesiaduje w chacie, żnie sierpem zboże, dzieli wszystkie radości i smutki jego rodziny i znajomych, tak, że Janek nie obawiał się śmieszności, gdy wreszcie oświadczył się o jej rękę. Ku wielkiemu zdumieniu i zgorszeniu panów Justyna mu ją ofiarowała.

Jest to ze stanowiska logiki życiowej skok w całej powieści najryzykowniejszy i czysto dedukcyjny. Sama autorka nazywa go „szalonym" i tak każe go Justynie tłomaczyć: „Uczoną nie jestem, ani artystką; żadnych niepospolitych zdolności, ani talentów nie mam, i tyle tylko rozsądną jestem, by to znać i wiedzieć. Z tego, co umiem, bez wahania i żalu odrzucę *drobnostki*, które ani mnie, ani, jak mi się zdaje, nikomu pożytku by żadnego nie przyniosły. A jeżeli światła zostanie mi jeszcze trochę więcej, niż on... niż oni go posiadają — z jakiemże szczęściem pomiędzy nich je wniosę!"

Teoretycznie nic ani takiemu skojarzeniu, ani takiemu wywodowi zarzucić nie można. Owszem gorąco życzyć należy, ażeby próżnujące rezydentki dworów, te przyjemne grzybki, to istoty zdrowe, silne, zdolne do pracy a wiodące żywot „bezczynnych kamieni," przechodziły do ludu i „trzymały nad nim swoją ubogą lampkę, aby mu trochę widniej, jaśniej i weselej było!" Ale czy ta chemia społeczna nie jest sielankowem marzeniem, czy dla takich związków życie przygotowało pierwiastki? Nie wierzymy powieści. Najszlachetniejsza teorya nie wytworzy uczuć sztucznych, jak żadna retorta nie wytworzy ciała organicznego. Nieprawdą jest przytem przysłowiowo powtarzane mniemanie o powinowactwie przeciwieństw. Kochają się tylko ludzie podobni, a dostrzegane w nich różnice łudzą nas tak, jak niewprawne ucho łudzą dwie melodye, które zlewając się w kontrapunkcie, tworzą zgodę. Chociażby ta panna wychowana w atmosferze dostatku, lekkich zajęć, znacznie rozwiniętych potrzeb umysłowych i uczuciowych, nie była ani „uczoną," ani „artystką," nie „odrzuci drobnostek" nabytych w dzieciństwie i młodości, nie sharmonizuje się trwale z życiem prostego chłopa, nie zapomni o swej wiedzy, francuzczyźnie, muzyce, towarzystwie ludzi ogładzonych lub wytwornych. W uniesieniu, w gorączce apostolskiej może na taki krok się odważyć; ale gdy pomieszka przez czas jakiś w zatęchłej i brudnej izbie, gdy codzień będzie musiała doić krowy, karmić trzodę, nosić wodę, żąć i spełniać wszystkie roboty gospodyni na 20 morgach — zatęskni do przeszłości. Nie wziąłbym na swoją odpowiedzialność życia ani tej panny, ani tego poczciwego chłopca, który ją poślubił. Sądzę, że nie zaryzykowałaby i Orzeszkowa — po za swoją powieścią. Ów lud bowiem, pomimo wielu niezaprzeczonych przymiotów, występuje w świątecznym stroju sielankowego idealizmu tylko dla podparcia autorom wzniosłych założeń; przy warsztatach życia, w ubiorze codziennym wygląda inaczej, właśnie tak, jak go przez wieki w szkole poddaństwa, ucisku i ciemnoty wychowywano: jego głowa wydaje nie mniej ostrą woń, niż jego nogi i ręce. Autorka umyła go i ubrała, otarła z potu i brudu, jego piersi rozgrzała gorącemi uczuciami, jego umysł wyostrzyła filozofią— stąd przeskok z dworu Korczyńskiego do chaty Bohatyrowicza wydaje się dla sił Justyny niewielkim i pozornie bezpiecznym. Powróćmy wszakże tym stosunkom prawdę realną — będzie innym. Naturalista zaprzeczyłby jego możliwości. Dajmy *Nad Niemnem* do przeczytania Zoli — rozśmieje się i powie: romans na wyspie szczęścia!

Ale powtarzam: to zarzut nie nasz, to zarzut rzeczywistości.

Zapomnijmy o niej — jeśli zdołamy — a utwór Orzeszkowej przedstawi nam się jednym z najpiękniejszych, jakie nasza literatura powieściowa do swego skarbca w ostatnich latach włożyła. Czysty, zdrowy, ożywczy oddech myśli szlachetnej, szczerze postępowej, jak ozon owiewa te piękne obrazy nadniemeńskie. Ani w nim śladu stęchlizny i swędów szlacheckich, zaczadzających zwykle nasze powieści. Ciągle mówi do nas nie pan lub jego lokaj, ale człowiek i jego matka, natura. Jej widoki nakreśliła autorka tak barwnie i żywo, że dziwić się trzeba ich bogactwu na ubogiej

ziemi. Całe malowidło jest za obszerne, autorka nie pozostawia czytelnikowi najmniejszej pracy dopełniającej, wyręcza go w myśleniu, dusze swych bohaterów otwiera na oścież i oświeca do dna, a mimo to jakiś dziwny, ciepły i jasny urok magnetyzuje nas z tej książki i zapobiega znużeniu. Po widnokręgu jej świata przebiegają chmury, ale ciągle nie przestaje on być pogodnym, słońce ani razu w nim nie zachodzi i gwałtowna burza się nie zrywa. Jest to roztapiająca wszystkie mroki rzeczywistości w promieniach tęczowego marzenia sielanka społeczna. Po obejrzeniu jej żałujesz, że nie stwarzasz ludzi, bo wielu takimi byś stworzył. Dodać trzeba, że są pewne struny, na których u nas tylko bardzo umiejętna ręka publicznie grać może, a Orzeszkowa nietylko gra na nich, ale wydobywa piękne i powszechnie zrozumiałe tony. Mój czytelniku, mój zapylony, zmęczony, ze spieczonemi ustami wędrowcze, jeśli chcesz ugasić pragnienie w czystej krynicy, odpocząć po znojach życia w rozkosznym cieniu — poznaj tę oazę.

A. S.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Nowe kłopoty komisyi kolonizacyjnej. —Dalszy ciąg naszej mądrości po szkodzie. — Głos Z. Glogera. — Jak mnożą się w organizmie naszego przemysłu bakterye niemieckie. — Marzenia biedaków. — Muzeum pszczelnicze i ks. Jakubowski. — Rada dla niego.— Sprzedaż wędlin do Paryża. — Powtórzona historya z butami. — Do czego zawiązał się komitet w Krakowie.

Biedna komisya kolonizacyjna znowu ledwie się opędza patryotom poznańskim, podsuwającym jej do kupna swoje majątki. Ofiarowano jej *200* folwarków, a ona może nabyć zaledwie 30. Do 170 serc ściekać muszą gorzkie krople żalu, dopóki nie przyjdzie kolej na strapionych. Wyobrażam sobie, jaki okrzyk zgrozy wydarł się z tych bolejących piersi, gdy po śmierci Wilhelma I usłyszeli koło siebie szept nadziei, że Fryderyk III zahamuje tę żniwiarkę polsko-szlacheckiej niwy, pod której sierpami oni tak paść pragną! Bo przecie owa komisya — to arka Noego, która ma ich uratować z potopu i osadzić na górze... Karola. Ale polak zawsze po szkodzie jest mądrym — tego mu zaprzeczyć trudno. Gdy „przedstawiciele narodu“ tak liczną gromadą podążyli na jarmark germanizacyjny i zaczęli wyprzedawać ziemię ojczystą, w głowach socyologów naszych błyszczała myśl, że może chłop, warujący od wieków jak pies na swym zagonie i warczący przeciw każdemu, kto go chce zeń spędzić, ma jakąś wartość polityczną. Na niebie poznańskiem pozapalały się mdłe gwiazdki demokratyzmu, które jedynie oświecają drogę zbłąkanym w ciemnościach szlacheckich. Tak, po szkodzie jesteśmy mądrzy.

Gdy ziemia polska, tonąc w morzu niemieckiem, staje się coraz bardziej archipelagiem wysp, gdy przemysł nasz tworzy na tem morzu drobne kępy, zasuwamy w organach opinii regestr wzdętej pychy i otwieramy inny, brzmiący skromnym rozsądkiem. Zewsząd i na wyścigi biegną głosy, że czas już skończyć z bezmyślnym arystokratyzmem i tłoczeniem się do urzędnictwa, że trzeba przygotowywać się do zawodów produkcyjnych, dających krajowi bogactwo, społeczeństwu—siłę, opinii — niezależność. Myśl tę znakomicie rozwinął w swej broszurze Szczepanowski. Jak wyrzut sumienia, jak przestroga, jak jęk duszy zaniepokojonej wyrywa się ona z prasy naszej ustawicznie. Wypowiada ją również znany etnolog Z. Gloger w *Tygodniku ilustrowanym.* Przypomina on naprzód szkodę, a potem wyprowadza z niej mądrość. Ziemia wysuwa się z rąk swojskich, bo na niej gospodarzą „obywatele do wszystkiego,“ ale nie ukształceni rolnicy. Minął bezpowrotnie błogosławiony czas, kiedy z cienką powłoczką ogłady umysłowej i towarzyskiej można było szparko przesunąć się po życiu. Dziś ludzie platerowani są bezużyteczni. Jeden z wychodźców do Ameryki skarży się wymownie w listach do rodziny na tę naszą pedagogiczną galwanoplastykę. Jego wychowanie kosztowało 15,000 rs. — i przyjechawszy do Ameryki, przekonał się, że nie umie niczego, co by mu chleb dawało. Znał język francuski, muzykę, taniec, historyę literatury, ale nie na tyle, ażeby mógł lekcyj udzielać. Papuzim chórem powtarzamy plotkę, że niemcy przybywszy do nas z wózkiem w psa zaprzężonym lub z węzełkiem na plecach, w krótkim czasie wyzyskiem i przebiegłością zdobywają majątki. Tymczasem oni je zdobywają pracą, dobrym rządem i wytrwałością. A jak mała kolonia tych bakteryj germańskich szybko się rozradza, opowiedział przed paru laty pewien znawca w *Ekonomiście.* „Cudzoziemiec, zwabiony korzystnymi dla przemysłu u nas warunkami, zakłada, dajmy na to, kortownię. Brak technicznie wykształconych ludzi powoduje go do sprowadzenia pracowników z zagranicy. Uzdolnieni, pracowici i zapobiegliwi ci robotnicy i majstrowie zdołają sobie z czasem zaoszczędzić jaki taki grosz, poczem, opuściwszy służbę, zakładają na własną rękę małą fabryczkę, złożoną częstokroć z 2 do 5 warsztatów tkackich. Fabryczka taka niebawem wyrasta na fabrykę. Tu znowu właściciel potrzebuje pomocników. Znajomi jego, również cudzoziemcy, chętnie mu oddają do nauki synów, którzy po kilku latach zostają majstrami, a spędziwszy kilka lat w obowiązku, zakładają z kolei fabryki na własną rękę. I tak toczy się to koło, ciągnione bezustannie siłą obcych żywiołów, dlatego jedynie, że my, z niepojętych powodów i to pomimo ciągłego utyskiwania na biedę, brak zajęcia itd., nie możemy się zdecydować na posyłanie synów na naukę do fabryk.“ Ale za to, gdy sposobem wyżej opisanym wzrośnie Łódź, Białystok, Zgierz, Opatówek, gdy nagle staną przed nami na naszym gruncie piramidy przemysłu niemieckiego, umiemy zarzucać ślinę aż na ich wierzchołki. Przyjęlibyśmy wszystkie, gdyby nam je kto gotowe darował; ale skoro potrzeba budować od podstawy, klaść kamień na kamieniu, to zostawiamy „kartoflarzom,“ którzy potem stąpają między nami jak wilki śród przerażonych myszy polnych. Rzecz dziwna, już jesteśmy dość zmateryalizowani w celach, umiemy nieraz chodzić po krętych ścieżkach wysypanych złotym piaskiem, jednym okiem patrzymy na tablice Mojżesza, a drugiem na Aronowego cielca, a pomimo to w snach naszych częściej się przesuwa posada urzędnika z kilkuset rublami pensyi, niż niezależne stanowisko przemysłowca z sutym zarobkiem. Z młodości mojej, która przecie nie tak daleko za mną została, przypominam sobie obrzydzenie inteligencyi małego miasteczka do kilku zamożnych garbarzów. Żadnego z tych społecznych paskudników nie zaprosiłby do swego domu podsędek, pisarz sądowy, rejent, burmistrz, kasyer, żadnemu nie oddaliby oni za żonę swej córki — taką była duma tych wydrwionych przez Szczepanowskiego, szczęśliwych spożywców 300—400 rubli rocznie. Ojcowie synów, niewiedzących co z nimi począć, usłuchajcie Glogera: „Symboliczne znaczenie dawnego oręża spłynęło dziś na pług, łokieć i pióro autorskie. Dla szlachcica wstydzić się dziś szermierki na tem polu, byłoby równie niezaszczytnem, jak dla rycerza uchodzić z pola bitwy... Jeśli masz ziemianinie kilku synów, spełnisz swój obowiązek względem kraju zaszczytnie, gdy każdemu z nich dasz inne wykształcenie fachowe, gdy w pojęcia tych odrośli twoich wszczepisz zamiłowanie pracy, oszczędności i wytrwałości.“ Ale dlaczego upominać tą radą tylko ziemianina?

Gdyby nasz język słychać było w Europie głośno, o naszem Muzeum pszczelniczem musielibyśmy mówić cicho, ażeby nie wynieść wstydu po za próg własnego domu. Jest to do uwierzenia trudnem, a jednak prawdziwem, że ojczyzna pszczół i słynnych miodów, że kraj nasz ledwie w ostatnich latach zdobył się na szkołę pasiecznictwa i nietylko nie może jej utrzymać, ale widzi, jak rozmaici apostołowie coraz głębiej zapuszczają swe zęby w to jabłko niezgody. P. Lewicki, dotychczasowy dyrektor Muzeum, wszystkiego złego winien — przypuśćmy; jeśli wszakże jest ono stowarzyszeniem, opartem na udziałach, czemuż akcyonaryusze nie wybiorą sobie innego przewodnika i nie oprą instytucyi na mocnej podstawie? Zamiast tego, widzimy ciągłe darcia się, spory prywatne i publiczne, po których cała budowa rozpada się w gruzy, z wyjątkiem jednej kolumny — tego właśnie p. Lewickiego. W ostatnich tygodniach zabrali się do Muzeum księża: jeden z nich je procesuje, drugi znieslawia. Naturalnie „czcigodni kapłani“ zawsze u nas mają słuszność, chociażby przepędzali swoje wielbłądy przez ucho igielne dobra społecznego. Na szczęście przeciw jednemu z nich stają dwaj tak niepodejrzani i „zacnym kapłanom“ ulegli świadkowie, jak *Wiek* i K. Prószyński, redaktor *Gaz. świątecznej*. Pierwszy pomieszcza listy, wykazujące ks. Jakubowskiemu rozmaite „nieprawdy,“ drugi, widząc, że „publiczna niesprawiedliwość się dzieje“ i „fałszywe alarmy opinię mącą,“ wypowiada ich sprawcy dość przykre kazanie. Twierdzi nawet, że przed swoimi czytelnikami zataiłby nazwisko „księdza“ Jakubowskiego, wzmiankując o napaści na Muzeum pszczelnicze, gdyż to „mogłoby im dać powód do zbytecznych i niepożądanych w interesie ogółu rozmysłań.“ Źle się dzieje w państwie sutanny, kiedy Promyk rzuca w nie takie kamyki z procy... *Wieku.* Skoro zaś tego rodzaju wiarogodni świadkowie składają zeznania potępiające, to już z całą śmiałością mogę postawić innego, który się do nas piśmiennie zgłosił. Jest nim p. Józef Modelski z Łomży, a przysyła następującą radę:

Od paru już lat i w różnych pismach czytać się dają ostre napaści i krzywdzące zarzuty przeciwko p. K. Lewickiemu, założycielowi Muzeum pszczelniczego, czynione przez księdza Juliana Jakubowskiego z taką nienawistną zaciętością, że bez nadużycia możnaby zapytać: czy to nie uwłacza charakterowi sukni duchownej i powadze osoby głoszącej naukę Chrystusa i jej zasady? Twierdzeniom jednak ks. J. J., jako gołosłownym, brakowało zawsze przekonywającej podstawy, bo przez strony zaczepione, lubo z przesadzoną grzecznością i pobłażaniem dla sukni, pobitym zostawał, choć przyznać należy, że porażki bynajmniej nie osłabiają energii duchownego, godnej zaiste właściwszej dlań sprawy.

Żeby więc przeciąć bezużyteczną a w każdym razie niemiłą dla społeczeństwa polemikę, jako pszczelarz radzę: czyby nie więcej przyniosło zaszczytu ks. J. Jakubowskiemu:

1) aby złożył niezbite dowody, że sam w położeniu p. K. Lewickiego wcale nie zapragnąłby korzystać z wyzysku, jaki temuż zarzuca? (bośmy tu w naszej okolicy mieli żywy obrazek o wiele przewyższający uchybienia, jakoby przez p. K. Lewickiego popełnione);

2) aby ułożył nowy system prowadzenia gospodarstwa pszczelnego, obalający w zupełności zasady wskazane przez p. K. L. i tem samem dowodzący nietylko nieużyteczności, ale nawet szkodliwości zasad dotychczasowych;

3) aby wykazał z ksiąg Muzeum: ile sztuk ulów systemu p. K. L. ono wyrobiło dotąd i wyprzedało na kraj cały; nadto zebrał wiadomości statystyczne: ile takich ulów od czasu

wprowadzenia tej formy zrobiono na miejscu przez miejscowych stolarzy, a nawet przez samych właścicieli mniejszych pasiek, z porównaniem ilości ulów dawniej wyrabianych, nie mniej ilości otrzymywanego miodu — według dawnego sposobu gospodarowania a obecnie; wreszcie: 4) aby wykazał liczebnie z ksiąg Muzeum, ile w niem osób wyuczyło się dotąd pszczelnictwa i czy ich nauka, zastosowana w praktyce, przyniosła jaki pożytek krajowi — nie zapominając już tych, którzy od uczonych pszczolarzy na własną rękę przyswoili sobie tę wiedzę.

Oddaję pod sąd światłej publiczności, czy załatwienie wskazanych czterech punktów nie położyłoby końca gorszącym sporom osób poważnych, wyrządzającym szkodę pożytecznej instytucyi i wprowadzającym w wątpliwość interesowaną publiczność, nadewszystko zaś darząc kraj nową i pewną już nauką, a tem samem, szkodliwą dotąd, z jej znienawidzonym autorem, zagrzebałoby w wiecznej niepamięci?

No, jeżeli ks. J. Jakubowski nie chce jedynie swą sutanną mącić wody, niechże za tą rozumną radą pójdzie.

Wyznaję, że gdym usłyszał o spełnionym już częściowo zamiarze wywozu polskich wędlin do Paryża, zachwiałem się nieco w teoryi mojej o naszych robotach spółkowych i zdolnościach przemysłowo-handlowych. Przedsięwzięcie było śmiałe— a jeszcze zapewniano, że ma widoki powodzenia! Bodajże bym się tak codziennie mylił! No, w jakimże okresie znajduje się ta sprawa? Pp. Gostkowski i Misiewicz, zawiązawszy w Paryżu odpowiednie stosunki i otrzymawszy od tamtejszych kupców obietnicę zerwania związków z Niemcami, zakupili od rzeźników warszawskich i dworów wiejskich partyę wędlin i wysłali dwoma wagonami do Francyi. Szynki podobały się i zyskały duży odbyt. Aliści po pewnym czasie rynek nadsekwański zawiadamia dostawców warszawskich, ażeby nadal nie fatygowali się i nie przysyłali towaru, gdyż wędliny szybko popsuły się zupełnie. Nastąpiło więc drugie wydanie historyi butów, wywożonych do Cesarstwa, które miały wielki pokup i dlatego zaczęto w nich podeszwy — przyklejać. Za fuszerką wystąpił drugi nasz przymiot tradycyjny. Gdy na niedzielę minioną przedsiębiorcy zwołali do siebie zebranie dla narady nad uratowaniem szczęśliwie rozpoczętego handlu — przybyło na nią zaledwie kilka osób, które nic postanowiły niczego. Odłożono jeszcze nadzieję do zjazdu ziemian podczas wystawy inwentarza, ale złamana noga handlu niełatwo się zrasta, zwłaszcza przy tym zasobie sił żywotnych, jaki posiada nasze „czoło narodu.“

Czytam, że w Krakowie zawiązał się komitet dla opracowania przewodnika angielskiego dla gentlemanów, którzy zapragną zwiedzić to miasto. Nie udała się sprzedaż szynek polskich w Paryżu, może uda się zbyt polskiej angielszczyzny *loco*. I naprawdę utworzono w tym celu komitet? Czemu nie wierzę? Przecież niedawno poważnie doradzano, ażebyśmy własnym nakładem wydali przekład *Pana Tadeusza* dla anglików. O czasy i obyczaje, w których chłop galicyjski musi z ospą stawić się do sądu rzeszowskiego, bo nie ma 50 centów na świadectwo usprawiedliwiające, a panowie zajmują się opracowaniem przewodnika po Krakowie — dla anglików.

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Wytwórcy i handlarze zbożowi. — Losy agentury piotrkowskiej. — Protest *Gazety radomskiej*. — Jacy są radcowie i jacy być powinni. — Windowanie na wyżyny. — Opodatkowanie letników za spacery leśne. — Słówko pociechy o Ojcowie.

„Handel zbożowy wyrwali nam z ręki, siecie na nas zastawili, w kleszcze nas wzięli!“ — tak ze wszech stron wołają nasi wytwórcy zbożowi, jak dzieciak, któremu inny malec piernika odebrał. „Bynajmniej nie odbiegniemy od prawdy (słowa jednego z korespondentów), twierdząc, że jeżeli stan taki potrwa dłużej, skoro na trapiącą nas solidarną zmowę nie znajdziemy skutecznego lekarstwa, skoro się ostatecznie poddamy pod ugniatające nas jarzmo — gospodarka na wsi stanie się zupełnie niemożliwą, a rolnictwo i rolnicy do takiego przyjdą stanu, że już żadne chyba środki, jako spóźnione, nie pomogą.“ Można się z tem zgodzić, słysząc rolników wzdychających do tych błogich czasów, kiedy to solidarności między handlarzami jarmarkowymi nie było, lecz każdy z nich działał na własną rękę. Oto ten ładny obrazek z okolic nadbużnych, według korespondenta *Wieku*: Gdy w miasteczku wypadł jarmark lub dzień targowy, wszystkie trakty i drogi boczne, któremi ludność okoliczna podążała, oblegali przekupnie żydzi. Handlarz zbożowy, obrawszy miejsce dogodne, miał beczkę wódki, miarę, wagę i worki, zatrzymując po kolei jadących chłopów, targował i kupował ziarno, lecz skoro sprzedający żądanej ceny nie dostał—o wypicie „mohoryczu“ nie dbał, jechał dalej, stając przy innych posterunkach i wreszcie na rynek małomiasteczkowy dotarł. Tu miał znowu licznych współzawodników, którzy działając pojedynczo, wzajemnie sobie szkodzili. Dziś zwyczaj ten całkiem ustał, nie wskutek przepisów policyjnych, trwających od dawna, lecz ściśle stosowanej przez spekulantów zasady jedności. Dzięki temu otaczają oni coraz mocniejszym łańcuchem knieje, gdzie z zimną krwią czekają na nagankę, wiedząc, że zwierzyna osaczona nie rozerwie ich ramion. Łańcuch ten wzrasta jak tasiemiec karmiony sokami bezbronnego organizmu; dziś już sięga do Królewca i Gdańska. Żydzi po wsiach są inspektorami spółki; oglądają pola pańskie i chłopskie, osądzają, jaki w przybliżeniu może być urodzaj przyszły. Następnie ściśle kontrolują zbiory, omłot, obliczają ilość każdego poszczególnie gatunku zboża na sprzedaż. W końcu notują stan finansowy każdego właściciela i dzierżawcy, każdej gminy włościańskiej. Dane statystyczne wręczają następnie *kasyerom*, którzy, zaopatrzeni w fundusze i pełnomocnictwo firm handlowych królewieckich i gdańskich, działają w miastach powiatowych i miasteczkach. Od czasu do czasu odbywają narady z handlarzami, z którymi odwiedzają dwory, ustanawiają ceny na każdy gatunek zboża itd. Rozwijają oni takie plastry słodko-lepkie, że nawet większe muchy rolne lgną do nich. Ci przynajmniej, co czują pod sobą trwalszą podstawę materyalną, mogliby uniknąć spekulantów, zawiązując bezpośredni stosunek z pierwszorzędnymi rynkami. Przekupnie semiccy są jednak dobrymi hypnotyzerami, najmniejszą iskierkę energii w szlachcicu potrafią uśpić chętnie udzielanemi zaliczkami, ciągle bieżącym, lecz nigdy nieskończonym rachunkiem z wytwórcą, pobłażliwością na uchybienia co do terminowej dostawy zboża i patrzeniem przez szpary na ziarno niedobrze oczyszczone. Takie sidła jeszcze niebezpieczniejsze dla włościan. Ci już po drogach nie są napastowani, lecz sami tłumnie oblegają handlarzy spokojnie wyczekujących w sklepikach małomiasteczkowych. Nabywca nie pyta o cenę, tylko daje co łaska. Waga decymalna, na której się kmieć nie zna, ułatwia oszustwo.

Położenie podobne z małemi odmianami panuje też w innych stronach kraju. W Kieleckiem kupcy żydzi, nabywając zboże, zawierają kontrakty opatrzone pułapkami, o których wytwórca wie, ale nie może protestować, bo potrzebuje pieniędzy. Nie świetnie tam jest, skoro Towarzystwo kredytowe kieleckie za zaległe raty na rok bieżący wystawiło 115 dóbr na sprzedaż przymusową, zaś w okolicach Chmielnika kilku dzierżawców zbankrutowało.

Jakże nasi rolnicy wobec swych wrogów ekonomicznych się zachowują i czy mają prawo wyrzekać na żydów, proszę sądzić z następującej sprawy, odgrzebanej przez *Tydzień piotrkowski*. Przed kilku laty kółko ludzi dobrej woli, powodowane troską zabezpieczenia produkcyi rolnej od wyzysku małomiasteczkowych pośredników, postanowiło zawiązać spółkę celem utworzenia na głównych punktach zbytu w gubernii „własnych agentur zbożowych.“ Po wielu trudnościach powstało owo stowarzyszenie, wybrano pełnomocnika, utworzono „radę nadzorczą“ z dwóch członków w celu ścisłego przestrzegania, pełnomocnika do rozwijania działalności w granicach kontraktem zakreślonych. Ten ostatni po roku ustąpił, następnie usunął się drugi i stało się coś niepojętego a tajemniczego. Kierownicy po dzień dzisiejszy żadnej działalności nie rozwinęli i nie dali żadnego znaku życia. Skromne zaś fundusze martwej agentury piotrkowskiej pleśnieją gdzieś uwięzione w prywatnym depozycie. Cieszmy się, że nasze najwybitniejsze cechy narodowe tak jeszcze silnie w nas kiełkują. Chcecie czytelnicy, to wam dostarczę więcej tych faktów radosnych. *Gazeta radomska* korzystając z uroczystej chwili przed wyborami do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego, wypowiedziała słowa prawdy, na które niejedno z większych pism szlacheckich nie miałoby odwagi. Wiadomo, że zarząd instytucyi rolniczej spoczywa w rękach wybranych przez ogół stowarzyszonych obywateli wiejskich. „W p. radcy Towarzystwa — powiada organ radomski — punktualność biurokratyczna bez zaprzeczenia jest wysokim przymiotem, ale radca powinien pamiętać, że stowarzyszeni mają prawo wymagać odeń, prócz terminowego odrabiania papierów, jeszcze szerszego zajęcia się ich wspólnym interesem... Szczególna ostrożność i lękliwość, oto charakterystyczna cecha naszych radców, objawiająca się w całej ich działalności. Pan Kuźnicki owo znamienne rysy wykazuje faktami, jako stowarzyszony, co się miał sposobność z blizka przyjrzeć tym sprawom. Jego towarzysze już kilka razy na wyborach zbiorowo dopominali się od zarządu małej ulgi, tj. zmniejszenia procentu od spóźnionej raty. Sześć lat już mija od pierwszego zbiorowego podania do Warszawy, a p. radca komitetu nie czuje się nawet w obowiązku wyjaśnienia, czy odpowiedni wniosek przedstawił radzie ogólnej, a jeżeli tak, to dlaczego nie chciano go przyjąć? „Szablonowe wyrażenie: nie możemy z przyczyny od nas niezależnej, nie jest jeszcze dostatecznem wytłomaczeniem się, bo stowarzyszeni, rozumiejąc powyższe względy, nie stawiają żądań niemożebnych do przeprowadzenia, ale domagając się drobnych ustępstw, chcą zarazem przekonać się, czy zarząd robi starania w tym kierunku, lub czy te domagania słuszne nie spoczywają czasem w pyle zapomnienia.“ Mnie się zdaje — powiada p. K. — że owa niemożebność jest czasami dobrem tylko schroniskiem dla bezkarnej, tak wygodnej bezczynności i apatycznego uśpienia, nietylko dla radców, ale i całego naszego społeczeństwa. Śmiały autor protestu słusznie pojmuje stanowisko radcy w taki sposób, w jaki ono dziś nie jest traktowane. Do tej czynności powinien być wybierany człowiek szerszych pojęć społecznych i odpowiednich uzdolnień umysłowych, nadto niezależny majątkowo, aby mógł ponieść bez uszczerbku dla siebie i rodziny ofiarę z pracy publicznej, której się ma oddać. Wszelkie forsowne i naciągane przez partye wysadzania na radcowstwo uprzywilejowanych przez dane kółko jednostek nie ma racyi bytu, bo często przy najlepszych nawet chęciach i rozwadze danej liczby stowarzyszonych, tamuje wybór ludzi odpowiednich. Czy to tylko towarzystwa kredytowe mają te piękne zwyczaje? Przyjrzyjmy się sobie z blizka, a znajdziemy wszędzie to samo: windowa-

nie na wyżyny niedołęgów, ludzi przeżytych, mających jedynie wielkie zasługi... w swych nazwiskach, albo — krótkowidzów, urodzonych pod szczęśliwą gwiazdą. Takim los sprzyja; na wózkach ciągnionych przez swych murzynów wjeżdżają coraz wyżej pogodni, lojalni wobec swej karyery sobkowicze. A za to pośród tych murzynów bywają ludzie, którzy swe prawdziwe zdolności i szeroką wiedzę zamykają na zawsze, by się oddać mechanicznej robocie dla dobra... swych zwierzchników.

Wkrótce urocze i nieurocze okolice kraju napełnią się warszawskimi „powietrznikami,“ jak ich lud nazywa. Możeby słuszniej wypadało niektórych nazywać „zapowietrzającymi“ ze względu na niedawno powstałą połajankę, stosowaną do malców wiejskich: „ty, warszawskie nasienie!“ Młodzież kwitnąca i przekwitająca nie przebiera w środkach „emocyi“ na świeżem powietrzu. Nie przebierają też właściciele mieszkań letnich z przyległościami w sposobach nabijania swych kieszeni. Jakiś posiadacz zagajnika w okolicy podmiejskiej ogłosił, iż osoby pragnące korzystać z przechadzki po lesie, powinny opłacać po rublu za sezon. W razie nieuiszczenia podatku, schwytani na przechadzce, będą pociągnięci do odpowiedzialności. Jeśli kogo z was, czytelnicy, zasmuciłem wieścią o Ojcowie, to teraz spieszę pocieszyć. Pisma donoszą, iż tylko część lasów (300 morgów folwarku Czajewice) sprzedano na wycięcie, najpiękniejsze zaś (800 morg.), otaczające dolinę, mają przedłużone życie. A więc zwolennicy tej czarującej miejscowości będą mogli jeszcze przez lat kilka oddychać śród drzew bezpłatnie (oprócz naturalnie komornego), dopóki nie pozostaną tam tylko zagajniki...

Drogomir.

PRASA RUSKA.

Dniewnik Warszawskij pisze w korespondencyi z Galicyi:

„W Galicyi, której cała zręczność ministrów austryackich polskiego pochodzenia, urzędników i jezuitów nie zdołała ani spolszczyć, ani zlatynizować, wzięto się teraz do systemu obłudy najwstrętniejszej. Nietylko polskie gazety milczą o sprawach i działaczach ruskich, na których napadają nieustannie, lecz i minister Gautsch przyjął na siebie rolę gorliwego adwokata Rusi galicyjskiej, przyznając jej „prawo“ do szkół średnich, z językiem wykładowym ruskim. Rozumie się, że to przyznanie, wyrzeczone przez ministra, nie ma najmniejszego znaczenia, jest to pusty frazes, nie wart i grosza, ponieważ minister nie obali chyba prawa usankcyonowanego przez monarchę, ani też nie rozpędzi „rady szkolnej“ we Lwowie. Jest to frazes pod adresem dzieci, żeby je ukołysać, i pod adresem ukrainofilów, ażeby ci, wytykając palcem Rosyę barbarzyńską, mogli wynosić pod niebiosa „wszystkie dobrodziejstwa“ konstytucyi austryackiej. Polacy ma się rozumieć, pojmując dobrze tę sztuczkę, milczą, nie tracąc daremnie słów na obalenie poglądów ministra.

„Nie grzmią armaty, nie leje się krew, ale walka wre u nas. Zwyciężamy Rosyę, podkopując jej podstawę, podkopując jej cerkiew prawosławną. Sam nasz cesarz w charakterze „Jego Apostolskiej Mości“ przyłożył rękę do zagłady cerkwi prawosławnej na Bukowinie i stara się o wprowadzenie tam unii. W „Burgu“ ostentacyjnie przyjmowano niejakiego Dutkę, włościanina, który przeszedł na unię w Baranczy. Przyrzeczono mu wszelką opiekę, chłopek, przyjmowany przez cesarza i papieża, zechce odegrać pod tak wielką opieką ważną rolę i propaganda unicka może przybrać rozmiary szersze. Cerkiew prawosławna na Bukowinie jest całkiem bezsilną. Jej olbrzymie bogactwa, stanowiące przeszło trzecią część majątków Bukowiny, pozostają w rękach rządu, który wydzierżawiając ziemię za płacę niższą 20 razy od wartości, rabuje cerkiew już przeszło od lat stu; na owym majątku tuczą się niemcy i żydzi, a okruchy rzucają się wspaniałomyślnie na „utrzymanie duchowieństwa“ tak jednak, by naród pozostawał w ciemnocie i pijaństwie i żeby ziemia z rąk ludu ciemnego i pijanego przechodziła w ręce niemieckie i żydowskie. Wiele milionów wyrzucono na pałac biskupi, który pochłania na utrzymanie i na odnawianie ogromne sumy, a duchowieństwo doprowadzono do takiego stanu, że nie może borykać się z unią! Gdyby poprzedni metropolici galicyjscy uniccy chcieli przeprowadzić Bukowinę na unię, to byłaby już ona całkiem unicką, ale dzięki współczuciu duchowieństwa galicyjskiego unickiego dla prawosławia, propaganda nie poskutkowała, aż do objęcia stolicy biskupiej w Stanisławowie przez młodego biskupa Juliana Pełesza, wysługującego się papieżowi i polakom austryackim. On to został zaszczycony w Rzymie uściśnięciem dłoni papiezkiej, czego nie dostąpił metropolita Sylwester Sembratowicz, jako budzący mniej zaufania.

„Oto, pisze korespondent, macie wojnę bez armat i strzałów! Głównodowodzącym ową wojną jest książe czerwony Adam Sapieha. Historya jego z r. 1863 jest nader interesująca. Ofiarą jej padł sędzia Kuczyński, przebity na ulicy kindżałem za to, że nie dał się przekupić. Księcia patryoci polscy mianują już „królem kijowskim,“ on to stoi na czele propagandy unickiej, a środków mu nie brak, z kapitałów jakie się pozostały po roku 1863. On to nabył Hniliczki i woził z nich włościan do Rzymu, aby ich przekonać, że ocalenia mogą się spodziewać tylko od Polski i papiestwa. W drodze do Rzymu zatrzymał się w Wiedniu, w Rzymie podejmował pielgrzymów, którzy, wedle jego rachuby, wróciwszy, zaniosą propagandę na całą waszą Ruś zakordonową. Wszakże rachuby takie zbyt często zawodzą, czego doświadczył już nieraz i sam „czerwony książe.“

„Taka wojna wrogów z naszemi podstawami już nam się naprzykrzyła do śmierci. Kiedyż ujrzymy jej koniec? Między nami daje się zauważyć rozpacz, jeżeli już nie zupełny upadek ducha. Propaganda nihilizmu, protegowana przez wrogów Rosyi, pomału wsiąka w naród, z niej wyjdzie niebezpieczeństwo wielkie dla tych, którzy tym środkiem drażnią sąsiada, a kiedy pożar wybuchnie, oni pierwsi padną jego ofiarą. Bez względu na wszelkie frazesy o swobodzie i szczęściu, jakimi szafują obficie apostołowie propagandy polskiej, lud tak ruski jak i polski, upadający pod brzemieniem podatków, nienawidzi szlachty polskiej, jako sprawczyni wszego zła, i oczekuje wybawienia tylko w połączeniu się z Rosyą.“

NOWE PRAWO LEŚNE.

Długo zapowiadane przepisy, dotyczące ochrony lasów, nareszcie ogłoszono w ubiegłym tygodniu. Brzmią one w główniejszych punktach: Nowe prawo obowiązuje w całem państwie z ograniczeniami poniżej: Działanie prawa, z wyjątkiem przepisów o lasach, ulegających bezwarunkowej ochronie (zaszczytnyje), nie rozciąga się tymczasowo: a) na włościańskie, b) na skarbowe, odstąpione instytucyom publicznym w guberniach: archangielskiej, wołogodzkiej, wiackiej, nowogrodzkiej, ołonieckiej i permskiej, na lasy leżące z lewej strony Wołgi w częściach gubernij: kostromskiej, niżegrodzkiej, kazańskiej, tudzież w gub. kaukazkich, oprócz stawropolskiej, z wyjątkiem działów leśnych; c) na lasy prywatne w gub. archangielskiej, bakińskiej, witebskiej, włodzimierskiej (z wyjątkiem 7 powiatów), wołyńskiej (oprócz pow. starokonstantynowskiego), wiackiej, elizawetpolskiej, kazańskiej (prócz jednego pow.), kałuskiej, kostromskiej, kurlandzkiej, kutajskiej, mińskiej, mohylewskiej, moskiewskiej, niżegrodzkiej, ołonieckiej, permskiej, pskowskiej, symbirskiej, smoleńskiej (z wyjątkiem dwóch pow.), petersburskiej, twerskiej, tyfliskiej, ufimskiej i erywańskiej; w okręgach: dagestańskim, kurskim, twerskim, kubańskim, uralskim, czarnomorskim i zakutalskim. Z powyższych wyłączone są jeszcze lasy chroniące źródła rzek. Ulegają one karnym przepisom. W uzupełnieniu ustawy o karach, nakładanych przez sędziów pokoju za cięcie drzewa, postanowiono: 1) za cięcie w lasach podlegających przymusowej ochronie, przed zatwierdzeniem dla nich planów gospodarstwa leśnego, lub w miejscach i ilości niedozwolonej przez te plany. Za cięcie w innych lasach w ilości lub czasie, niezgodnym z planem zatwierdzonym przez komitet ochrony lasów. Za prowadzenie niszczącego cięcia wbrew postanowieniom komitetów, oraz za niedozwolone karczowanie pni i korzeni — winni podlegają oprócz odebrania im drzewa lub zapłacenia jego wartości, karze pieniężnej, równej wartości drzewa, na zasadzie taksy obowiązującej w ministeryum dóbr państwa. 2) Za oczyszczenie przestrzeni leśnej lub obrócenie jej na inny użytek gospodarczy w lasach 1-ej kategoryi, winni, oprócz ustanowionej kary za nieprawidłowo wycięte drzewo, ulegają karze po 5 rs. za każde sto sążni wyciętego lasu. 3) Za niedozwolone wycinanie w lasach 2-ej kategoryi, kara 5 rs. za każde sto sążni. 4) Za urządzanie pastwisk lub zbieranie podściółki w lasach 1-ej kategoryi i inne poboczne użytkowanie — 10 rs. Karom określonym w art. 1 i 2 podlegają również: a) winni cięcia drzewa w lasach dozorowanych przez skarb, w majoratach Królestwa Polskiego, w lennych i pojezuickich majątkach, w gub. kraju zachodniego, jeśli cięcie to prowadzone było w miejscach lub ilości niedozwolonej w planach i b) winni karczowania takich przestrzeni w celu obrócenia ich na inny użytek. Za dopuszczenie powyższych nadużyć w lasach pod zarządem lub nadzorem izb skarbowych, urzędnicy ich odpowiadać będą sądownie. P. minister dóbr państwa może zastosować, gdzie uzna za właściwe, działanie nowych przepisów i w miejscowościach powyżej wyszczególnionych. Kary pieniężne, tudzież kwoty, otrzymane ze sprzedaży odebranych materyałów leśnych, tworzą specyalny fundusz, z którego p. minister dóbr państwa lub wojny używać będzie na potrzeby gospodarstwa leśnego w lasach prywatnych, a mianowicie: a) na sporządzanie planów gospodarstwa leśnego 1-ej kategoryi; b) na stosowanie w nich takich środków gospodarczych, które będąc koniecznymi dla ochrony, nie mogą być wykonane na rachunek właścicieli; c) na koszty sporządzenia planów zalesienia w tych wypadkach, kiedy do chwili pokrycia ich przez właścicieli, należy czasowo przyjąć je na koszt skarbu; d) na urządzanie szkółek, suszarni nasion itd.; e) na nagrody pieniężne dla najlepszych stróżów leśnych.

(D. n.)

KRONIKA BIEŻĄCA.

Petersb. Wied. piszą: „Wobec znacznego rozwielmożnienia się kapitałów niemieckich na hypotekach majątków w gub. płockiej i piotrkowskiej, przedsięwzięto środki celem zapobieżenia przechodzeniu gruntów w ręce obcokrajowców, przyczem rejentom zalecono szczególną ostrożność przy zatwierdzaniu takich zobowiązań. Obecnie uznano za konieczne w zupełności zabronić rejentom zatwierdzania aktów tego rodzaju.“

Zarządy kolejowe tutejsze zniżyły o 50% opłatę za przewóz przedmiotów, przeznaczonych na wystawę rolniczą w Warszawie.

Szkoły. *Now. Wremia* donosi, że ministeryum oświecenia uznało za stosowne zmienić określone w zeszłorocznych okólnikach, a zbyt uciążliwe warunki przyjmowania uczniów do gimnazyów. Najświeższy okólnik w okręgu naukowym odeskim poleca zwierzchnikom średnich zakładów naukowych nie wymagać od rodziców lub wychowawców żadnych wiadomości o ich mieszkaniu, adresie, liczbie zajmowanych pokojów, ilości służby, o członkach rodziny, z których się składa rodzina w danem mieszkaniu, po imieniu ze wskazaniem lat wieku, ile każdy z nich liczy, zatrudnienia i środków każdego z tych członków rodziny, którzy przebyli wiek szkolny i zakładu dla uczących się dzieci. Uchylone są też wymagania dostarczania wiadomości następujących: do jakiego zajęcia przygotować zamierzono wchodzącego do zakładu naukowego wychowańca; jak i pod czyjem bezpośredniem oddziaływaniem prowadzone były dotychczas wychowanie i nauczanie dziecka; jak i pod czyim bezpośrednim dozorem, oraz pod czyją odpowiedzialnością mają być prowadzone

nadal w razie przyjęcia dziecka do zakładu; czy mogą być dostarczone wychowańcowi wszelkie środki, konieczne do czynienia postępów w nauce i do ścisłego wykonywania wszystkich przepisów dla uczniów i na czem mianowicie polegać będą te środki. Pozostawiono natomiast w dawnej mocy przepisy, według których zwierzchnicy naukowych zakładów obowiązani są dowiadywać się: od rodziców uczniów nowowstępujących, do jakiej sfery społeczeństwa ci rodzice należą, jakie odebrali wykształcenie, czem się trudnią, ile lat liczą, jaką pensyę w służbie otrzymują i jaki posiadają cenzus majątkowy, tudzież od składającego podanie o przyjęcie uczniów, czy będzie on w stanie opłacać wpisowe i zaopatrywać wychowańców należycie w podręczniki i środki pomocnicze, a także w odzież mundurową.

— Z polecenia p. ministra komunikacyi do programu nauk w tutejszej szkole, utrzymywanej kosztem drogi Nadwiślańskiej, dołączono także naukę fechtunku, która odbywa się kilka razy tygodniowo na dziedzińcu szkolnym.

— Ministeryum oświecenia poleciło po ukończeniu egzaminów przedsięwziąć odpowiednie środki w celu równego rozdziału uczniów na klasy, z tem zastrzeżeniem, aby liczba ich w każdej klasie nie przechodziła 40. W razie większego napływu, dyrektorowi gimnazyum służy prawo przenoszenia uczniów do progimnazyów, gdzie istnieje możność otwierania klas równoległych.

Bibliografia. A. Kudasiewicz, *Nowele i arabeski*, Warszawa, str. 150.

— A Wrześniowski, *L. Cienkowski*, wspomnienie pośmiertne (dodatek do *Wszechświata*), Warszawa, str. 52.

— W. B., *Bumażnyja dieńgi*, Petersburg, str. 91.

— S. Miecznikowski, *Rachunek przybliżony*, Warszawa, str. 40.

— Strzelecki i Kotlubaj, *Encyklopedya rolnicza*, zeszyt V.

— **Towarzystwa** opieki nad zwierzętami wydają swoje organy, które mają na celu wskazówki, odnoszące się do hodowli zwierząt, ich ochrony, wreszcie szerzenie ku nim zamiłowania u ogółu. W Londynie wychodzi *The Animal World*, w Petersburgu *Wiestnik*, w Paryżu *Journal des Animaux*, w Tryeście *Zoofilo*, w Szlezwigu *Cimbria*, w Rydze *Der Anwalt der Thiere*, we Lwowie *Miesięcznik* galicyjskiego Towarzystwa op. nad zw., w Dreznie *Androclus* itd. Organem naszego jest *Przyjaciel zwierząt*, który w ostatnich czasach wiele się ożywił. Pismo to ze względu swej użyteczności znajdować się winno w rękach wszystkich miłośników zwierząt.

Zarząd nowych wodociągów zrobił przedstawienie do p. prezydenta miasta, aby znajdujące się na ulicy studnie publiczne oraz wodotryski połączyć z ułożoną nową siecią rur i aby przed niemi ustawić wodomiary celem dokładnego skontrolowania, ile studnie i wodotryski bezpłatnie oddawanej wody zużywają.

Elektryczność. Jedno z przedsiębiorstw oświetlania elektrycznością wystąpiło z projektem oświetlenia w Warszawie teatrów, gmachów, sklepów i zakładów prywatnych, mieszczących się w środku miasta, W pobliżu placu Teatralnego wzniesiony ma być osobny budynek dla pomieszczenia motoru parowego.

Ukazem Najwyższym ogłoszono: „Po zniesieniu kancelaryi ministeryum Dworu i pozostawieniu kantorowi tego ministeryum tylko obowiązków rewizyjnych, wszelkie czynności administracyjne i gospodarcze oddane być mają gabinetowi Naszemu, przyczem utworzone w nim będą wydziały: administracyjny, gospodarczo-ziemsko-fabryczny i kameralny pod ogólną władzą p. ministra Dworu."

Port na Wiśle. *Kuryer warsz.* dowiaduje się, iż w zarządzie warszawskiego oddziału okręgu komunikacyi wypracowują projekt budowy portu przy brzegach praskich na łasze wiślanej. Plany mają być przedstawione ministeryum komunikacyi w bieżącym miesiącu.

Ruch na kolei łączącej linię Dąbrowską z Granicą otwarto 1-go czerwca.

Fabryki. W ostatnich czasach kilka nowych zakładów w Warszawie rozpoczęło czynności: fabryka firanek (prawie wszystkie maszyny nabyła w kraju), fabryka ołówków kolorowych, kopiowych i gum, fabryka zegarów szwarwadzkich. Ta ostatnia zatrudnia 50 robotników i wyrabia na początek zegary wagowe, a wkrótce weźmie się do sprężynowych. Trzech majstrów specyalistów sprowadzono z zagranicy, robotnicy zaś są wyłącznie miejscowi.

Ambulatoryum dla chorych niezamożnych, dotkniętych cierpieniami gardła, nosa i krtani otwarto przy szpitalu św. Rocha. Przyjęcia codziennie od 9-ej do 10-ej rano, z wyjątkiem poniedziałków, czwartków i dni świątecznych.

Składki kolejowe. Stosownie do decyzyi kasy zjednoczenia urzędników i oficyalistów kolei Wiedeńskiej i Bydgoskiej, składki bieżące uczestników podwyższone być mają do 8%. Z tego powodu w łonie rady zarządzającej powstał zamiar przedstawienia kwestyi zagrożonych funduszów tej kasy na pierwszem ogólnem zebraniu akcyonaryuszów, w celu wyjednania podwyżki dopłaty ze strony Towarzystwa na rzecz pomienionej instytucyi.

Sztuka. Sąd dorocznego konkursu paryskiej Akademii sztuk pięknych ogłosił wyrok. W dziale portretów naturalnej wielkości medal wielki srebrny otrzymała Anna Bilińska, odznaczenie — stypendysta warszawski, Feliks Cichocki. W dziale studyów wyłącznie kobiecego pędzla wielki medal srebrny, pierwszą nagrodę Akademii, przyznano również Annie Bilińskiej. Do konkursu stanęło 300 malarzy.

Nadesłane. Szanowny Redaktorze! Od pewnego czasu obiegają po mieście coraz głośniej i szerzej pogłoski, że jakoby ktoś urządzał na moją korzyść koncert jakiś, czy też zbierał składki, że ja sam byłem inicyatorem, żem chory na suchoty i potrzebuję zapomogi na wyjazd za granicę itd. Ze względu, iż wieści te krążą przeważnie pośród ludzi, którzy mię nie znają wcale, oznajmiam publicznie, iż cieszę się zupełnem zdrowiem i zdolnością do pracy, nigdy nie potrzebowałem i nie potrzebuję żadnej pomocy, że zatem nikt koncertów nie urządzał, ani składek dla mnie nie zbierał. Bardzo byłbym wdzięczny tym, coby dopomogli w odszukaniu kłamcy, który rozpuścił ubliżające mi baśnie. *Zenon Pietkiewicz.*

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

F. B. Ależ przedmiotu całej nauki nie wyczerpuje się króciutkim artykulikiem. Zresztą uwagi pańskie są słabem echem myśli dawno wypowiedzianych.

P. S. Dom. w Kijowie. Rozbioru gruntownego pierwszej nie znamy, drugą (Sow.) obszernie oceniono w *Prawdzie* (1886, nr. 44 i 5).

P. L. Fr. w Płocku. Czy żydom wolno mieszkać w Turkiestanie, objaśnić pana może tylko biuro paszportowe.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Мая 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. Gl. A. Świętochowski.